

tygodnik lubuski nadodrza

ZIELONA GÓRA

23 – 29.I.1990 R. ROK XXXIV

4 (716)

CENA 200 ZŁ



„Zadziwiający jest fenomen „Trędowatej” i jej koleżanki „Niewolnicy Isaury”. Myślę, że przyczyny powodzenia takich dzieł mają wspólny rodowód. Wypływają z prostej, ludzkiej tęsknoty do miłości, której w życiu jest mało, a której człowiek pragnie, czasem pod świadomością, i zdarzyć się może, że nigdy jej nie osiąga...”

W roli tytułowej występuje TATIANA KOŁODZIEJSKA, młoda aktorka, córka pary znanych zielonogórskich naukowców Barbary i Adama Kołodziejskich.

O premierze „Trędowatej” pisze Halina Ańska.

Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

STR. 14

Jak żyć?

Ewa nie zdążyła zrobić uprawnień projektowych, ale będzie pomagała mężowi w prowadzeniu prywatnego biura. Może kiedyś za... 20 lat kupić znowu swoje mieszkanie.

STR. 3

Pan profesor radzi...

Premier Mazowiecki powiedział wyraźnie, że myśliwym nie jest i nie będzie. Brzeziński go jednak namawia do polowania (na czarownic). Organizuje mu nawet nagonkę. Polityczno — pedagogiczne hobby.

STR. 4

Jestem uczniem Klema

— Nigdy nie zapomnę pierwszej lekcji u Klema. Umówił mnie z nim jego syn, Armand. Wziąłem zeszyt, ołówek i dwie półlitrowki. Najpierw Klem objaśniał mi, jak się kładzie farby, a ja zapisywałem. Potem on usnął na stole, a ja pod stołem.

STR. 7-8

Biała czy krwawa plama?

Nie w pełni zdajemy sobie sprawę z trudnej sytuacji, w jakiej znalazły się władze radzieckie. Wskazanie NKWD jako sprawcy zbrodni dokonanej na kilkunastu tysiącach polskich oficerów równa się przecież w konsekwencji pociągnięciu do odpowiedzialności winnych im dobrostwa i przyznaniu odszkodowań rodzinom pomordowanych. To zaś pociągnie za sobą ią winę...

STR. 9

z regionu...

SPOTKANIE WOJEWODY zielonogórskiego Zbyszka Piwońskiego z dyrektorami przedsiębiorstw, których organem założycielskim jest właśnie wojewoda, odbyło się niedawno w Urzędzie Wojewódzkim. Obecnie w Zielonogórskim takich zakładów jest prawie 100. W dyskusji podsumowano rezultaty działalności w roku ubiegłym, mówiono też o pierwszych negatywnych zjawiskach, jakie pojawiły się na początku roku w życiu gospodarczym, po wprowadzeniu w życie nowych uregulowań dotyczących funkcjonowania tych przedsiębiorstw.

PONOWNIE DROŻEJĄ KSIĄŻKI. O połowę więcej niż dotychczas płacić będziemy za książki, które wydane zostały przed końcem ubr. Pierwszy taką decyzję podjął Dom Książki w Warszawie. W ślad za nim poszły inne dyrekcje tego przedsiębiorstwa. Książki garze tłumaczą się wzrostem kosztów kredytów bankowych, na których oparta jest ich działalność, a także wzrostem kosztów transportu, czynszów, koniecznością płacenia wysokich dywidend od majątku trwałego itp. Marża jest wprawdzie wysoka (od 35 do 50 proc. ceny książki), nie wystarczy jednak na pokrycie kosztów własnych. Najgorzej wychodzą na tym czytelnicy, którzy rezygnują z zakupu wielu książek. Coraz częściej mówi się o potrzebie unowocześnienia całego systemu wydawniczo-księgarskiego, którego nie uratują kolejne podwyżki cen. Sytuacja w księgarstwie lubuskim jest podobna, czyli równie dramatyczna.

KRYZYS W SZKOLNYCH STOLÓWKACH. W styczniu poważnie wzrosły opłaty za wyżywienie, szczególnie w internatach, z których coraz więcej młodzieży rezygnuje. Kurator Oświaty i Wychowania w Zielonej Górze podwyższył maksymalne stypendium socjalne z 40 do 80 tys. zł. Szkolne komisje będą w dalszym ciągu decydować, komu pomoc jest najbardziej potrzebna. Ilość podań o stypendia nadal rośnie, nie wszyscy je jednak otrzymają. Czy je dynym wyjściem z trudnej sytuacji będzie rezygnacja z nauki?

CZŁOWIEK SUKCESU. Za takiego uznać można dyrektora zielonogórskiego Zastalu inż. Czesława Fedorowicza, którego nazwisko znalazło się w renomowanym wydawnictwie Międzynarodowego Centrum Biograficznego w Cambridge. Wydawnictwo to propaguje ludzi z całego świata, którzy ze względu na swe osobiste predyspozycje i nieprzeciętne kwalifikacje osiągnęli nie tylko osobisty sukces, ale przyczynili się też do powodzenia kierowanych przez siebie zespołów ludzkich i przedsiębiorstw. W minionym ćwierćwieczu MCB w Cambridge zaprezentowało 70 tys. nazwisk ludzi, obdarzając ich tytułem „Men of Achievement” („Człowiek sukcesu”), zatem fakt wyróżnienia polskiego dyrektora uznać należy za znaczący. Tylko czy zgodne jest to z „polską normą”?

USŁUGI NA WSI. To w ogóle ślepy zaulek naszej gospodarki, szczególnie właśnie na wsi. W 1988 r. na 1000 mieszkańców wsi gorzowskiej przypadała jedna placówka usługowa, w ubr. było jesz-

cze gorzej. Zniknęły prawie całkowicie placówki usługowe GS, zlikwidowało je „Społem” i WPHW, spółdzielczość pracy. Na tym wygłodzonym rynku pojawili się co prawda rzemieślnicy, ale oferują usługi nie pierwszej potrzeby (warsztaty samochodowe, przedsiębiorstwa budowlane), nadal jednak nie ma gdzie naprawić zepsutej chłodzarki czy telewizora, nie mówiąc już o butach. Uplynie sporo czasu, nim ta usługowa pustynia się ożywi.

NA CO MOGĄ LICZYĆ EMERYCI w I kwartale br? Wyплаты zaliczek na poczet rent i emerytur stały się już regułą. Jest to zdaniem resortu pracy jak i ZUS jedyny technicznie możliwy sposób na gonienie inflacji. Taką metodę zastosuje ZUS również w I kwartale br. Pod koniec stycznia każdy emeryt i rencista otrzyma oddzielnym przekazem 120 tys. zł (z tytułu wyrównania za IV kwartał ubr.). W lutym wraz z rentą i emeryturą w normalnym terminie płatności poczta doręczy świadczeniobiorcom zaliczkę za I kwartał w wysokości 160 tys. zł. Wyплаты zwaloryzowanych od 1 stycznia br. świadczeń nastąpią w marcu.

WYREJESTROWYWANIE POJAZDÓW. Wzrost opłat komunikacyjnych, podatku drogowego i cen paliwa spowodował masowe wyrejestrowywanie pojazdów mechanicznych. W Zielonej Górze tylko w pierwszych trzech tygodniach tej akcji na taki krok zdecydowało się ok. 1,5 tys. właścicieli pojazdów. Mimo tego nie sprzyjającego klimatu dla motoryzacji nie słabnie zainteresowanie kursami nauki jazdy. Organizujące je LOK, „Oświata”, ZDZ i Westa, mają podobno zapewnioną frekwencję do końca roku. Tylko w ubr. liczba uprawnionych do kierowania pojazdami wzrosła o 2275 osób i obecnie prawami jazdy legitymuje się 45 tys. zielonogórzan. Najliczniejszą grupę stano-

wią posiadacze prawa jazdy kategorii „B”, których jest ponad 32 tysiące. Pod koniec minionego roku w Zielonej Górze było zarejestrowanych 16,5 tys. prywatnych samochodów osobowych.

LICYTACJA W POLMOZBYCIE. Po raz pierwszy w tym roku zielonogórski Polmozbyt przeprowadził przetarg na samochody osobowe. Wystawiono 10 fiatów 126 p bis 700 oraz 10 polonezów. Wszystkie na gwarancji. Maksymalna cena przetargowa na bisa — 17 mln 600 tys. zł, na poloneza — 41 mln 700 tys. zł. Widać — inflacja robi swoje.

DECYBELE. Największe przekroczenie norm hałasu ulicznego występuje w Gorzowie. Tylko dwa miasta w tym województwie: Myślibórz i Międzybóże posiadają tranzytowe obwodnice dla ruchu kołowego. Przez pozostałe miejscowości wszystkie pojazdy przejeżdżają przez centrum. Aż w 7 z 16 zainstalowanych tam stałych punktów pomiarowych stwierdza się przekroczenie dopuszczalnego natężenia dźwięku o 15 decybeli.

NOWY TYGODNIK. Po raz pierwszy na zielonogórskim rynku prasowym po wojnie pojawił się prywatny tygodnik — „Gazeta Nowa”, którego wydawcą jest firma „Alpo — Sp” a redaktorem naczelnym Edward J. Mincer. Pismo drukowane jest w Drukarni Prasowej RSW Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego i ma ambicje promowania wszystkiego co nowe oraz prezentowania na swoich łamach poglądów liberalnych. Nakład tygodnika „GN” wynosi 30 tys. egzemplarzy, a jeden kosztuje 650 zł.

BĘDZIE FESTIWAL! W Warszawie odbyło się posiedzenie Krajowego Komitetu Organizacyjnego Konkursu i XXVI Festiwalu Piosenki Radzieckiej. Przewodniczącym Komitetu został Michał

Jagiello — wiceminister kultury i sztuki, a wiceprzewodniczącymi: Andrzej Bober — dyrektor generalny PR i TV, Stanisław Lewandowski — sekretarz ZG TPPR i Zygmunt Stabrowski — sekretarz ZW TPPR w Zielonej Górze. Tegoroczny festiwal odbędzie się w zielonogórskim amfiteatrze w dniach 6 — 9 czerwca br.

DZIESIĘCIOLECIE „TRAWERSU”. Minęło dziesięć lat od utworzenia przy Oddziale Miejskim PTTK w Zielonej Górze Klubu Górskiego „Trawers”. W czasie minionej dekady przewinęło się przez klub ok. 100 osób reprezentujących różne zawody, uczelnie i szkoły. W tym czasie klub organizował wyjazdy w góry polskie i zagraniczne, m.in. w Alpy Julijskie, Preneje, góry Norwegii, Grecji, Tatry Słowackie, Piryn, Rile, Dolomity. Jest co wspominać!

ZAPROSILI NAS

Biurow Wystaw Artystycznych w Gorzowie na otwarcie wystawy fotografii „Człowiek współczesny” oraz do Małej Galerii BWA-GTF na otwarcie ekspozycji fotografii „Album rodzinny” Władysława Nowogórskiego; Zbyszkińskie Towarzystwo Naukowo-Kulturalne oraz Urząd Miasta i Gminy w Zbyszynie na uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej z okazji 70 rocznicy powrotu Zbyszynia do Macierzy; Ośrodek Kultury ZWCh „Stilon” w Gorzowie na wystawę „Zabytkowy klimat polski” ze zbiorów Centralnego Muzeum Włókiennictwa w Łodzi; Paweł Janczaruk do Galerii AKFA w zielonogórskim DK Mera-Lumel na otwarcie wystawy swoich fotografii pt. „Moje miasto”; Biuro Wystaw Artystycznych w Zielonej Górze na otwarcie wystawy malarstwa Zbigniewa Szymaniaka; zielonogórski Klub MPiK na otwarcie wystawy rysunku satyrycznego Grzegorza Szumowskiego.



Wspomnienie śniegu...

Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

Ewa i Paweł skończyli architekturę pięć lat temu. Na początku mieszkali u rodziców Pawła w małym domku. Oboje zatrudnili się w biurze projektów. Po roku małżeństwa Ewa urodziła pierwsze dziecko. Byli szczęśliwymi i niedługo potem otrzymali mieszkanie spółdzielcze. Przy pomocy finansowej rodziców wykupili swoje M. Pojawiło się drugie dziecko. Ewa ponownie wzięła urlop macierzyński. Po trzech latach pracy Paweł zdobył uprawnienia projektowe. Ambitna żona chciała mu dorównać. Nadszedł grudzień 1989 roku. W biurze zawrzało. Z obrad Sejmu docierały wieści, poprzez radio i prasę, o zmianie ustawy o gospodarce finansowej przedsiębiorstw państwowych. Architekci z dużym stażem szybko przeliczyli i okazało się, że „na swoim” mogą zarobić więcej. Zaczęli odchodzić i usamodzielniać się. W końcu w biurze pozostało kilku młodych projektantów i personel pomocniczy. Paweł zawsze marzył o urzędzie w swojej prywatnej firmie. Pod koniec grudnia okazało się, że jeśli chce pracować w swoim zawodzie, to nie ma innego wyjścia. Biuro projektowe zamknęło swoje podwoje i to zda się na długo. Konkurencja w mieście jest już spora. Nie ma co liczyć na szybkie sukcesy. W tym fachu liczy się bardzo nazwisko. On nie zdążył sobie jeszcze na nie zapracować. Podjął je dnak ryzyko. Wiedział, że jeśli chce zrealizować swoje marzenia, potrzebna jest gotówka i to spora. W jego portfelu było tylko na bieżące wydatki. Konta w banku w ogóle nie miał. Rodzice wszystkie swoje oszczędności oddali im na zakup mieszkania. Musiał coś sprzedać. Bał się powiedzieć o tym żonie. Tak bardzo cieszyła się, że mają własny kąt. Ewa do dzisiaj ma żal, że jej kochany mąż tak szorstko się z nią obszedł. Któregoś dnia przyszli obcy ludzie oglądać ich mieszkanie. Nie rozumiała o co chodzi. Pawła nie było w domu. Trochę się wystraszyła i jeszcze dzieci zaczęły płakać. Mógł przecież ją choć zapytać, uprzedzić. Po dwóch tygodniach od tej wizyty, mieszkali już z powrotem w małym domku u Pawła rodziców. Przedtem, zanim wprowadzili się do swojego mieszkania, czuła się u teściowej jak sublokatorka. A teraz mają jeszcze dwoje dzieci. Ciągle im musi zwracać uwagę, by nie przeszkadzały babci i zachowywały się ciszej. Teściowa i teść to dobrzy ludzie, choć jak wszyscy, mają swoje humory.

Ewa nie zdążyła zrobić uprawnień projektowych, ale będzie przecież pomagała mężowi w prowadzeniu prywatnego biura. Może kiedyś za... 20 lat kupią znowu swoje mieszkanie.

Karol i Ula mieli trochę mniej szczęścia. Od chwili opuszczenia akademika wciąż wynajmowali jakiś kąt. Nie mogli się zdecydować, by wyjechać z miasta i zaszyć się gdzieś na wsi. Jeszcze w ubiegłym roku mogli tam dostać mieszkanie. Ula uczyłaby w wiejskiej szkole, a Karol mógłby dojeżdżać do pracy do najbliższego miasteczka. Może by się zdecydowali, ale ciągle mieli nadzieję otrzymać mieszkanie spółdzielcze. Dostali się nawet na listę przyspieszeń. Spełnili wszystkie warunki: wynajęli mieszkanie, małe metraż, dwoje dzieci, ona jest nauczycielką. Rodzina mieszka bardzo daleko, nie mogło więc być mowy o do-

jeżdżaniu do pracy. A poza tym tam też ciasno. Jeszcze w grudniu ubr. mieli nadzieję, że już wkrótce zbierze się komisja społeczna, przydzieli i uda im się w końcu wprowadzić do swojego M. Wzięliby nawet dwupokojowe, choć należało się przecież więcej. Ale lepsze takie niż wynajęte. W styczniu rozwiązyły się wszystkie marzenia. Prezes spółdzielni rozłożył ręce i powiedział, że teraz to już nie nie przydzieli. Musi być zatwierdzone nowe prawo spółdzielcze, nowy statut i dopiero wtedy można opracować zasady przydzielania mieszkań. Na liście przyspieszeń nie ma co liczyć. Odeszła wraz z epoką socjalizmu.

Czterooosobowa rodzina pozostała więc w wynajmowanym M-2. Właścicielka zażądała, od nowe-

najczęściej Mateuszem, on mógł po prostu robić pieniądze. Był to zarobek może niezupełnie legalny, a na pewno nie przynoszący satysfakcji ani zawodowej, ani zarobkowej, nie mniej jednak za pewniaczy utrzymywanie rodziny. Pierwszy sygnał zagrożenia pojawił się wraz z komunikatami w prasie o rewindykacji kredytów. Młode małżeństwo zaczęło zastanawiać się co zrobić, jeśli taka ustawa zostanie wprowadzona. Ani przez chwilę nie chcieli myśleć o sprzedaży domu. Oboje włożyli w budowę tyle wysiłku i zdrowia. Prawie samodzielnie kładli wszystkie cegły, deski na podłogę, malowali ściany. Nawet kafelki w łazience to też ich praca. Dziś wiedzą już, że muszą spłacić miesięcznie 400 tys. zł. Na wpłacenie całości od razu nie mają pieniędzy. Praca Waldka urwa

Oboje wiedzą, że nie ma w tym przesady. Są dumni. Wszystko zawdzięczają sobie. Zaczynali przecież od wynajęcia piwnicy, w której Zbyszek spędzał niemalże całe dni. Najpierw pierwsze świeczki robił ręcznie. Była to prawdziwa manufaktura. Mieszkali wówczas w małym pokoju u rodziców Teresy. Na początku szło opornie. Mieli wtedy wrażenie, że spędzą tak całe swoje życie. On w piwnicy, a ona w pokoju sporządzając notatki do pracy magisterskiej. Potem coś drgnęło i ich wyroby sprzedawały się bardzo szybko. Nie sądzili, że ludzie kupują dziennie tak dużo świeczek i zniczy. Ręce Zbyszka zarobiły na pierwszą maszynę. W małej piwnicy zrobiło się bardzo ciasno i duszno, ale mogli już zatrudnić jedną osobę do pomocy. Po 10 godzinach pracy młodzi mężczyźni wychodzili zmęczeni jak górnicy z kopalni.

Po dwóch latach Zbyszek i Teresa mogli kupić sobie mieszkanie, a może i mały domek. Nie pamiętają dokładnie. Jednak razem postanowili, że chcą czegoś więcej. Wynajęli duże pomieszczenie i zakupili dodatkowe maszyny. Na dal mieszkali kątem u rodziców Teresy. Ich przyjaciele wiedzieli, że Zbyszek daje dobrze zarobić. Zatrudniali się u niego chętnie. Firma rozrastała się, Teresa była dumna ze swojego męża coraz bardziej. Dziś są spokojni. Nie boją się nowych warunków gospodarczych. Mają dom, w górach pensjonat, swój sklep z kosmetykami i nadal robią świeczki. Ponadto kończą budowę dużej hali za miastem, do której sprowadzą maszyny poligraficzne i zacząć wydawać książki, a może i swoją gazetę.

KATARZYNA HALICKA

Jak żyć?

go roku, 200 tys. zł. miesięcznie. Za przedszkole (dwoje dzieci) trzeba zapłacić 152 tys. zł. Z pensji nauczycielki pozostanie więc niewiele na życie. Karol jest akwizytorem. Jego pensja zależy od bardzo wielu czynników, zbyt wielu. Za dużo w tym wszystkim nie wiadomych. Ula przestała już zarządzać z męża, że niby taki inteligentny i silny, a ona słaba, musi utrzymywać całą rodzinę. Na jego pensję nie można liczyć. Tu go ktoś oszuka, tam wystrychnie na dudka i znowu nie ma wypłaty. Postanowił znaleźć państwową posadę. Teraz taka jest najpewniejsza.

Za późno nawet, by myśleć o przeniesieniu się na wies. Tam z pewnością wszystkie do niedawna wolne mieszkania czekające na nauczycieli, są już zajęte. Takich jak oni jest przecież wielu. Będą więc nadal czekać na swoją kolejną w spółdzielni. Teraz jednak z jeszcze większym niepokojem. Słyszeli, że koszt mieszkania spółdzielczego (około 50 metrów kwadratowych) wynosi obecnie 50 mln zł. Wkład członkowski pobierano dotąd w wysokości 10 procent wartości mieszkania. Ma podobno wzrosnąć do 30 proc. Nietrudno wyliczyć, że musieliby wpłacić jednorazowo, przy otrzymaniu swojego M, 15 mln zł. Zastanawiają się, czy rewaloryzacja wkładów łącznie z premiami gwarancyjnymi na książeczkach mieszkaniowych dogoni tę sumę.

Dwa lata temu Ania i Waldek przeprowadzili się z małego pokoiku w hotelu asystenckim do własnego domu. Ile wtedy było radości. Przyjaciele balangowali do białego rana. Pani domu pomału przyzwyczajała się do dużych przestrzeni. Mebli nie mieli wiele, więc pokoje tym bardziej wydawały się ogromne. Dzieci w końcu mają gdzie pobiegać. Mały Mateusz już w nowym domu stawiał swoje pierwsze kroki. Waldek zwolnił się z pracy, ale jakoś nie mógł znaleźć sobie takiego zajęcia, by utrzymać rodzinę. Postanowili więc, że on weźmie urlop wychowawczy, a żona wróci do pracy. Dzięki pomocy babci, która zajmowała się

ła się. Takich jak on, którzy jeździli do Berlina Zachodniego po towar i sprzedawali go z samochodu, zniszczyło cło i konkurencja. Nowe warunki gospodarcze nie pozwolą mu przetrwać. Kredyt zżera całą pensję Ani. Za co więc żyć? Słyszeli gdzieś, że teraz legalna będzie emigracja zarobkowa. Owszem, zgodzą się nawet na rozłąkę, ale dokąd Waldek ma jechać?

Zbyszek i Teresa są osiem lat po ślubie. On mówi o sobie, że jest menadżerem, a ona, że panią „na włosciach”.



Efektowne i nagle zmiany następujące w bloku wschodnim przesłoniły w ostatnich tygodniach scenę polską. Jednak względny spokój w Polsce może być ciszą przed burzą.

W ciągu pięciu miesięcy od swego powstania, polski rząd, kierowany przez Solidarność, reformował starą gospodarkę komunistyczną przy pomocy instrumentów wolnego rynku i zlikwidował subsydia na wiele artykułów pierwszej potrzeby. Polacy płacą obecnie za żywność od pięciu do stu razy więcej niż przedtem. (...) Wielu Polaków może wkrótce znaleźć się bez pracy.

Przyjezdny podróżujący po kraju może dojść do wniosku, że większość społeczeństwa jest nadal gotowa dać rządowi szansę. Pewna emerytka stojąca w kolejce w drogerii powiedziała mi: „Winnowajcą jest rząd, który rządził Polską przez 45 lat, a nie ten, który sprawuje władzę od dwóch miesięcy”. Jednak w ciągu owych 45 lat władcy komunistyczni przyzwyczaili społeczeństwo do myśli, że Polska powinna być państwem opiekuńczym. Badania opinii pub-

licznej wskazują, że Polacy oczekują, iż rząd — bez względu na to, kto mu przewodzi — zapewni pracę, mieszkanie i opiekę lekarską.

Minister pracy i opieki społecznej Jacek Kuroń, poprzednio znany działacz opozycyjny, w swoim czasie witał strajki z zadowoleniem. Dziś domaga się wyrzeczeń. Kuroń obiecał zwiększyć renty starcze i inwalidzkie do poziomu

wszystkich finansowo i będą wymagać wyrzeczeń”.

Wyrzeczenia nie są dla Polaków czymś nowym. Między 1980 a 1987 siła nabywcza większości rodzin pracowniczych, i tak niezbyt wielka, spadła prawie o 17 procent. W nowym roku Polacy mogą doświadczyć jeszcze większego ubóstwa. Wicepremier i minister finansów Leszek Balcerowicz ocenia, że płace realne spadną w 1990

wanego przez Solidarność stale atakuje związek zawodowy partii komunistycznej (OPZZ) i jego przywódca Alfred Miodowicz. Nie dawno Miodowicz demonstrował przed parlamentem przeciwko zmniejszeniu wyrównań indeksacyjnych dla robotników (...)

Wielu Polaków nie darzy OPZZ zbyt dużym zaufaniem, ale związek ten nie jest jedynym, który protestuje przeciwko rządowemu planowi działania. Przywódca związkowy Lech Wałęsa ostrzegł w niedawnym wywiadzie: „Jeśli rząd zapomni, że swój mandat otrzymał od społeczeństwa, dojdzie do starcia. I ja opowiem się po stronie społeczeństwa”. Inny przywódca Solidarności, Bogdan Borusewicz przewiduje, że w nadchodzących miesiącach dojdzie do poważnych niepokojów społecznych. W razie konfrontacji, mówi, związek zawodowy Solidarność poprze społeczeństwo przeciwko kierowanemu przez Solidarność rządowi.

To, czy Polacy utrzymają swe poparcie dla nowego rządu, zależy od tego, czy zdoła on zapewnić im udogodnienia socjalne, jakich oczekują, dokonując jednocześnie niezbędnych posunięć oszczędnościowych.

(Fragmenty artykułu Janine R. Wedel, antropologa i specjalistki od spraw wschodniej Europy, zamieszczonego niedawno w *The Christian Science Monitor*).

Po polskiej euforii

połowy średniej płacy, ale w niedawnym wywiadzie wyjaśnił, że „płace wzrosły tymczasem tak bardzo, iż możemy okazać się niezdolni do spełnienia naszej obietnicy”. Mówi się, że ministerstwo Kuronia rozszerza obecnie osłonę dla osób, które mogą stracić pracę i dla przedsiębiorstw dotkniętych kryzysem finansowym. Jednak Kuroń podkreślił, że niezbędne radykalne zmiany struktury gospodarczej „siłą rzeczy dotkną nas wszystkich, powtarzam, nas

o 20 procent. Jego program antyinflacyjny, który wszedł w życie 1 stycznia, przewiduje, że po początkowej wypłacie rekompensat (w styczniu), nastąpi zamrożenie płac w przedsiębiorstwach państwowych. Jednak ceny wielu towarów będą rosły, gdy cofnie się subsydia.

(...) Jak na to dalsze zaciskanie pasa zareagują robotnicy, którzy już nie mają na czym oszczędzać? Politykę gospodarczą rządu kiero-

Z drugiej ręki

Z kim współpracował Noriega?

Dziwna sprawa Izraelczyka, który był bliskim współpracownikiem Manuela Noriega i zniknął w zamieszaniu podczas inwazji USA na Panamę, zwróciła uwagę na ukryte powiązania obalonego dyktatora z Izraelem. Czynniki oficjalne USA w Panamie oznajmiły niedawno, że Mike Harari, były wyższy oficer służby wywiadowczej Izraela — Mossadu, został ujęty przez wojsko USA. W dwa dni później czynniki te przyznały, że prawdopodobnie się omyliły.

„Myśleli, że go mają — powiedział wyższy urzędnik ambasady USA. — Po dalszym sprawdzeniu okazało się, że albo go nie ujęli — co jest najbardziej prawdopodobne — albo przekonał ich, że jest kimś innym”.

Jeden z dowódców nowej Siły Bezpieczeństwa Panamy, podpułkownik Eduardo Herrera, powiedział, że Harari został ostrzeżony jakieś sześć godzin przed amerykańską inwazją w celu obalenia Noriega. Dodał, że Harari spędził wieczór przed inwazją w domu żony Noriega — Felicidad. Kierowca Noriega, który również tam był, powiedział, że do tego domu przyszło dwóch niezidentyfikowanych Izraelczyków i rozmawiało z Hararim po hebrajsku. Harari powiedział obecnym, że „coś się zdarzy” i odjechał — oświadczył kie-

rowca. Atak Stanów Zjednoczonych nastąpił sześć godzin później.

Telewizja izraelska cytowała źródła zbliżone do rodziny Harari, które twierdziły, że znajduje się on w Izraelu. Z innych informacji wynikało, że 62-letni Harari był widziany w Nikaragui. Jeden z rzeczników ministerstwa obrony USA powiedział pod koniec ub. tygodnia, że uprzedzono go, by odpowiadał na pytania o Hararim mówiąc, iż oficjalne czynniki wojskowe nic nie wiedzą o jego ujęciu.

To zamieszanie spowodowało spekulację, że Stany Zjednoczone pozwoliły po cichu uciec Harariemu, aby uniknąć niewygodnej sytuacji. Ale komentatorzy twierdzą, że jest bardziej prawdopodobne, że został wypuszczony niechęcią, jeśli rzeczywiście kiedykolwiek był zatrzymany. „Informacje wywiadowcze o Noriedze i najwyższym kierownictwie panamskim nie były szczególnie dokładne — mówi jeden z komentatorów. — Najlepszy dowód, że sam Noriega mógł włóczyć się po całej stolicy od 20 do 24 grudnia i wreszcie znalazł schronienie w nuncjaturze Watykanu”.

Inny człowiek, który znalazł Hararię, twierdzi, że jest absolutnie prawdopodobne, iż wykołował amerykańskich żołnierzy tak, że go puścili.

„On jest bardzo inteligentny, znakomicie wyszkolony i zna Panamę i Panamczyków jak nikt” — powiedział ów człowiek, który prosił, by nie wymieniać jego nazwiska. Według niego, Harari — wieloletni partner Noriega w interesach — był tym, który doprowadził do kwitujących stosunków między generałem i rządem izraelskim. „Kiedy Stany Zjednoczone skończyły swe stosunki z Noriega — powiedział — zwrócił się do Izraelczyków. Dostarczyli mu techniki i części zamienne, reperowali mu śmigłowce i zainstalowali sieć łączności dla panamskiego wojska”.

Sam Noriega miał — jak się zdaje — ambiwalentne uczucia w stosunku do Izraela. Z jednej strony wojskowi USA przedstawili do wody, że trzymał zdjęcie Hitlera w swym pokoju poświęconym wudu. Z drugiej strony, kupił dom w modnej dzielnicy Tel Awiwu i posłał swoje dzieci do żydowskiej szkoły.

Harari wycofał się ze służby czynnej w 1979 r. jako szef Mossadu w Ameryce Środkowej i Meksyku. Przedtem stał na czele operacji izraelskiej brygady uderzeniowej, która zabiła wielu Palestyńczyków w odwet za masakrę izraelskich sportowców na Olimpiadzie w Monachium w 1972 roku.

Z Noriega spotkał się po raz pierwszy w 1973 roku, kiedy generał stał na czele panamskiego wywiadu G-2 za czasów Omara Torrijosa, który zginął w 1981 r. w wypadku samolotowym.

Harari odegrał wszechstronną rolę w rozwoju Panamskich Sił Obrony, a nawet zasugerował nadanie im tej właśnie niewinnie brzmiącej nazwy, wzorowanej na

Izraelskich Siłach Obrony. Szkolił też jednostkę ochrony osobistej Noriega i prowadził do niej werbunek; w jednostce tej służyli m. in. także byli żołnierze izraelscy i kubańscy doradcy wojskowi.

Były panamski dyplomata, który był kiedyś na placówce w Izraelu i wrócił ostatnio z uchodźstwa w USA, powiedział, że Harari brał łapówki od izraelskich ludzi interesu, którzy chcieli tutaj inwestować w latach 80-tych i dzielił się nimi z Noriega. Wiązano go także z dostawami broni dla popieranych przez USA rebeliantów nikaraguańskich („contras”), które były opłacane — jak się twierdzi — zyskami z handlu narkotykami. Oskarżenia te nigdy nie zostały udowodnione.

Obalenie Noriega wywołało głęboki niepokój u niektórych członków społeczności żydowskiej w Panamie, liczącej ok. czterech tysięcy ludzi, którym powodziło się lepiej niż znakomicie pod jego rządami. Ich powodzenie przyciągało znaczną liczbę Izraelczyków do Panamy.

Waszyngtońska gazeta JEWISH WEEK („Żydowski Tydzień”) cytowała jednego z czołowych żydowskich działaczy w Panamie, który twierdzi, że wielu Żydów w Panamie było zaangażowanych w przemyt i „czyszczenie” pieniędzy pochodzących z nielegalnych źródeł. „Jest oczywiście prawda, że społeczność żydowska świetnie prosperowała za dyktatury... Chrześcijańskie firmy zostały w dużym stopniu wyrugowane przez żydowskie firmy” — powiedział gazecie Moises Mizrahi, przewodniczący panamskiego komitetu do zwalczania antysemityzmu.

(Za Alanem Elsnerem, korespondentem REUTERSA)

Czesław Sobkowiak

★ ★ ★

★ ★ ★

Czyż nie zadziwia nas Diogenes
Który Arystotelesowi odpowiada
Gdybyś umiał gotować kaszę
I mieszkać w beczce
Byłby ci zbędny
Królewski pałac

Ze cierpieliśmy lęk ból i upokorzenie
Ze całymi nocami modliliśmy się o siłę wytrwania
I o nowy dzień który nastał

Ze jedni zobaczą śródmieście w neonach
Ze innym w ciemnej izbie skarga niema
Kiedy zabraknie jednej kromki chleba

Ze dym się wali ku zamarzłej ziemi
Ze tynk od fasady budynku odpada
Gdyż są nad wszystkim sprawiedliwe prawa

★ ★ ★

Niewątpliwie
Jesteśmy poszukiwaczami
Królestwa nie z tego świata
Mój biedny nikomu niepotrzebny
Poeto

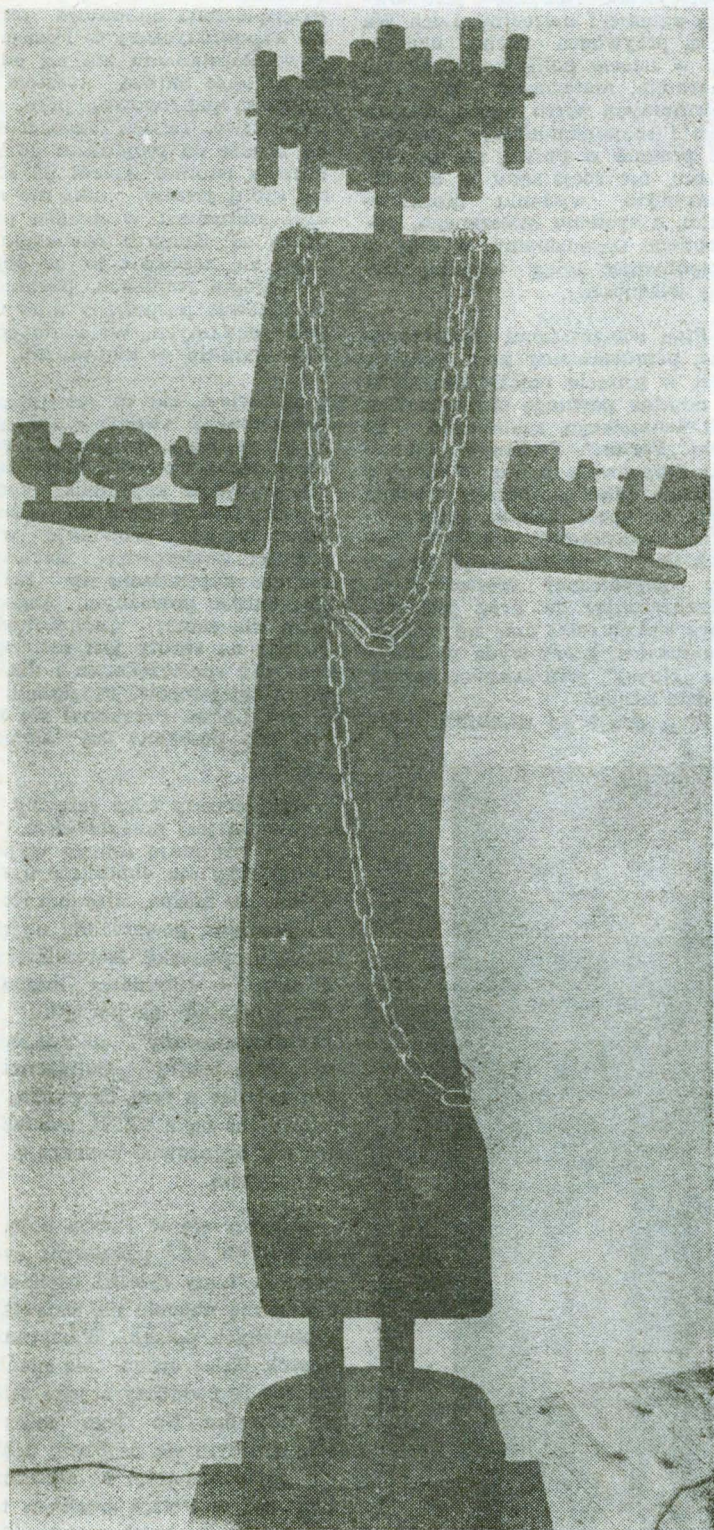
★ ★ ★

(bez dedykacji)

Popelnileś błąd
Którego się zaparłeś
I teraz
Całą swoją klęską
Chcesz uderzyć
W czyjeś imię

★ ★ ★

Między dniem i nocą
Małe jest życie
I coraz mniejsze będzie
Z godziny na godzinę
Naszego znikania ze świata



Rzeźba Józefa Cyganka — zielonogórskiego artysty — rzeźbiarza, ze zbiorów Muzeum Ziemi Lubuskiej.
Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

POSTAWY

Cykoryjne państwo

Gdy idealisci zabierają się do dzieła, założyć można, że rezultatem końcowym ich wysiłków będzie zupełnie nie to, do czego zmierzali. Firma licząca na nadzieję lepszych czasów, zakładając, że jej siedziba w przyszłości będzie pałac, na miarę sił i możliwości buduje barak. Potem okazuje się, że nie jest tak trwałe jak baraki, stany tymczasowe.

Z ulicy Wiejskiej w Warszawie, jak znikąd w Polsce, wieje programowym optymizmem. W biegu, właśnie z dnia na dzień, nie konsultując tego z nikim, co przecież było koronnym zarzutem wobec wszystkich poprzednich reżymów, zmienia się para grafy ustawy zasadniczej, ustala prawa, również zmieniane z dnia na dzień Rozumem. Skoro chleb staje się rarytasem, igrzyska wy muszoną zabawą, duża ilość czasu wolnego zagospodarowuje się działaniami pozorowanymi. Z owej gry pozorów ma się wyłonić nowe państwo prawa,ładu, dobrobytu. Na dziś jednak wyłania się całkiem coś innego, mianowicie państwo balaganu, biedy, strachu. Prowizorium krótko trwałe jak ów barak, może być stanem trwałym.

Nie boi się w Polsce pan Balcerowicz i jego chłopcy. Natomiast wszyscy inni ogarnięci są paraliżującym wolem działania stanem strachu. Gospodynie domowe z lękiem otwierają drzwi do piekarni. Misternie zaplanowany budżet domowy, w którym nie ma pozycji „kino”, „książka”, „zeszyt” dla dziecka, może zo-

stać zrujnowany. Emeryci nie barzo wiedząc, co przyniesie, i kają się, że termin tradycyjnej wizyty listonosza nie zostanie do trzymany.

Lęk, którego przyczyna tkwi w gospodarce, jest własnością wszystkich, biednych, bo idzie o ich życie, bogatych, bo idzie o zachowanie stanu konta, perspektywę interesów. A przecież mamy do czynienia dopiero z początkiem. Bezrobocie staje się faktem. 80 procent przedsiębiorstw budowlanych w Polsce stoi przed bankructwem. Na bruk pójdą nie tylko urzędnicy, ale i murarze, cieśle, dźwigowcy, zbrojarze. Zamiera ruch budowlany w kraju, gdzie szczęście ma postać mieszkania. Również budownictwu indywidualnemu grozi generalna klapa. Bo tylko wariat zaciąga kredyty na obecnych warunkach. Minister Paszyński nie kiwając palcem w bucie, stoi przed perspektywą pełnego zaspokojenia rynku w materiały budowlane. Cegły, cementu, stali zbrojeniowej, rur, spłuczek itp. Iada dzień będziemy mieli w bród.

Każdy ma szansę zostania bezrobotnym. Także dziennikarze. Także i ja. Miło mi jednak, że lęk mój nie jest pojedynczy. Po dziela go bowiem dyrektor mojej firmy, wicewojewoda, biznesmen, któremu może się nie udać, chyba także sam premier Mazowiecki. Drżąc o swoją przyszłość powinien także noblista Wałęsa, MRF, pan Fiszbach, którego na maszczenie na szefa lewicy może okazać się niedzwiedzią przysłu-

gą. Wszyscy możemy się znaleźć we wspólnym kotle po równo — solidarianie i pezetperianie, zdziwieni wspólnotą towarzystwa i zasadą, na której dokonała się integracja.

Ludzie z „Solidarności” mogą powiedzieć, że są jak ci z PZPR, co odeszli. Cwicząc błędy popełnione przez partię, tylko że w tempie przyspieszonym, jak tam ci również nie dotrzymują słów. Obiecywane szczęście jest również dalekie i nierealne. Lech Wałęsa, przywódca ruchu będącego w istocie politycznym konglomeratem, materiałem na kilka normalnych partii wśród których jest i socjaldemokracja, mówił że pragnie w Polsce, nie kapitalizmu, nie socjalizmu w dotychczasowym wydaniu moskiewskim, a systemu mieszanego, podobnego szwedzkiemu, w którym współistnieć mogą wszelkie formy własności.

Plan wicepremiera Balcerowicza, przedstawiany jako jedyny, jest w gruncie rzeczy ściągawką z notatek pewnego eksperta Banku Światowego, zgubionych w hotelu „Forum”. Traktując pierwszy etap owego planu — walkę z inflacją, jako bezsporny, wymagający od społeczeństwa największej ofiar, wicepremier musi się jednak liczyć z progiem wytrzymałości psychicznej społeczeństwa. Przekraczając ów próg, Balcerowicz będzie miał czas na pisanie memuarów, które wyda w oficynie „Novej”, jeśli takowa jeszcze będzie istnieć.

Etap drugi po ustabilizowaniu

złotówki, ma być przybliżeniem do szczęścia, zbudowaniem bogatego, normalnego rynku, gdzie bez ograniczeń działają podstawowe prawa popytu i podaży. To prawda, gospodarka rynkowa stymuluje rozwój ekonomiki, zamożność społeczną w kilkudziesięciu krajach. Jest też prawdą, że prawa rynku obowiązujące w kilkudziesięciu innych krajach wciąż nie powodują, że są to narody zamożne. Wystarczy spojrzeć na mapę gospodarczą Ameryki Południowej, Afryki, Azji. rewnikiem jest, że w dającym się przewidzieć czasie Szwedami nie zostaniemy. Jeśli idzie o stopę życiową, porównywanie się z obywatelami Bangladesz jest za wsze opcją otwartą.

Trzeba postawić kropkę nad „i”. Jest etap trzeci planu Balcerowicza, o którym się nie mówi. Przyspieszona oświadczeniowa formacja kapitalistyczna w Polsce. Budowa kapitalizmu ma się odbyć, co tu dużo mówić, kosztem gospodarki państwowej, przez rozdaństwo. Leszek Balcerowicz na drodze od socjalizmu do kapitalizmu istotnie wszedł na ścieżkę, którą jeszcze nikt nie kroczył. Natomiast w historii precedensu są Kongres wiedeński, siarając się naprawić to co popsuł w Europie Napoleon, postanowił zrealizować pospieszny kurs układow feudalnych. Wiadomo co z tego wynikło — kapitalizm.

Nie wiem, czy to co pragnie zorganizować obecna ekipa, prymitywny, nieociesniony przez rewolucję październikową, doświadczona krzyżów kapitalizmu spotka się z aprobatą społeczną. Natomiast to, co proponuje wicepremier Balcerowicz, dochodzenie do kapitalizmu na skróty, jest bardzo poważnym zagrożeniem dla samej „Solidarności”. Pojsście na skróty jest niebezpieczne dla społeczeństwa i dla samych inicjatorów. Przekonał się o tym Lenin. Przekonał się Bierut. Czy przekona się Balcerowicz?

Na pierwszy etap reformy Balcerowicza jest przyzwolenie. Bo Polacy nie mają innego wyjścia. Drugi etap ma charakter dyskusyjny. Bo można mieć bardzo silny pieniądź, powszechną nędzę i słabą gospodarkę. Natomiast trzeci etap — odbudowa kapitalizmu, powinien na początku być przedyskutowany przynajmniej w gronie lewicy „Solidarności”, nie mówiąc o tym, że partia, która wyłoni się z PZPR, zobowiąza na jest opracować koncepcję alternatywną.

Wszyscy się w Polsce boją. Jesteśmy na dziś państwem cykoryjnym. Lany cykorii czyli strachu rosną obecnie na wszystkich społecznych polach. Wicepremier Leszek Balcerowicz się nie boi. Dobrze to świadczy o jego osobistej odwadze. Na jego miejscu, przyjrzałbym się osobistej ochronie, jej sprawności i szczerości. Być dziś w Polsce workiem treningowym, to bardzo niebezpieczne.

RYSZARD ROWIŃSKI



Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

● Znamy się sprzed lat. Zdał Pan maturę w LO nr 7 w Zielonej Górze. I co Pan potem robił?

— Byłem tłumaczem z języka angielskiego

● Skąd Pan znał angielski?

— Nauczyłem się, przebywając z przyjacielem, który nazywał się Gregory Urquart i pracował w WSI. Był Amerykaninem.

dzinę. Było to w roku 1973. Jednak w Anglii nie czułem się dobrze. Przeniósłem się do RFN. Po pewnym czasie wstąpiłem do Kunstakademie — Akademii Sztuki w Monachium. i ukończyłem ją.

● Jak przebiegały studia w tej uczelni?

— W gruncie rzeczy polegały na samokształceniu. Nie ma prawie żadnych obowiązków, poza

Jestem uczniem Klema

Z Ireneuszem Zajączkowskim
artystą — malarzem z Koln w RFN
rozmawia Halina Ańska

● I nagle zapragnął Pan zostać artystą-malarzem?

— Nie nagle. Po dłuższych poszukiwaniach czegoś, czym mógłbym żyć i zajmować się. Mówiło mi, że na Zachodzie jest wspaniale. W 1975 roku pojechałem do Austrii. Ale rozczarowałem się i szybko wróciłem. W tym okresie zrozumiałem, że przeznaczeniem moim jest malarstwo. Poszedłem do Klema i zaciągnąłem się do „klemowiska”.

● Czytelnikom, którzy mogli nie znać Klema i nie wiedzą, kto to był, trzeba wyjaśnić: Klem był artystą-malarzem i grafiką, artystą bardzo utalentowanym, płodnym, ekscentrycznym, lubianym, popularnym, redaktorem graficznym „Nadodrza”. Nazywał się Klemens Felchnerowski. Zmarł przed kilku laty.

— Nigdy nie zapomnę pierwszej lekcji u Klema. Umówił mnie z nim jego syn, Armand. Wziąłem zeszyt, ołówek i dwie półlitrowki. Najpierw Klem objaśniał mi, jak się kładzie farby, a ja zapisywałem. Potem on usnął na stole, a ja pod stołem.

● Dlaczego właściwie Pan wyjechał?

— Znałem angielski, więc sporo czytałem o Zachodzie, zwłaszcza o panujących tam stylach i tendencjach w plastyce. To mnie pociągało. Postanowiłem pojechać do Anglii, miałem tam ro-

Klassensprechen — rodzajem konwersacji, dwie godziny w tygodniu. Każdy student ma jednego profesora i z nim, oraz pod jego kierunkiem, układa sobie proces własnego rozwoju.

● Czyli stara jak świat instytucja mistrza i uczniów.

— Właśnie. Miałem szczęście dostać się do mistrza sławnego na Zachodzie, prominenta w świecie sztuki, prof. Daniela Spoerri. Byłem jedynym studentem, którego prof. Spoerri przyjął tylko na podstawie przedłożonych prac, nie mając przedtem ze mną kontaktu. Często to potem podkreślał.

● Pytanie najprostsze: co Pan maluje?

— Najkrótsza odpowiedź: obrazy. Olejne, dwa na trzy metry kw, czarno — białe. Od dziesięciu lat używam wyłącznie czerni i bieli. Czerni jest kolorem bardziej graficznym niż malarskim, ale moim zamierzeniem dobrze służy. Chodzi mi o maksymalną koncentrację. Nie osiągnąłbym jej, operując wieloma kolorami.

● Często Pan coś sprzedaje?

— Czasem. Gdy sprzedam obraz, za uzyskaną sumę mogę skromnie utrzymać się ponad rok. W międzyczasie, na bieżące potrzeby, zarabiam grafiką. Obrazy maluję długo, przeciętnie po dwa lata każdy. Grafiki robię znacznie szybciej. Zrobiłem m.in. serię portretów sławnych ludzi



Moje malarstwo jest ewangeliczne...

Fot. RYSZARD POLAK

zatytułowaną „Bohaterowie XX wieku”. Inna moja seria przedstawia pomniki polityków i przywódców. Interesuje mnie wpływ systemu totalitarnego na rozwój sztuki.

● Życie artysty w RFN i Polsce, proszę porównać.

— Nie potrafię. W Koln mam obecnie świetne warunki. Moja pracownia ma 160 m kw powierzchni, choć poprzednio zdarzało mi się mieszkać i pracować w po mieszczeniach bardzo ciasnych. Od pewnego czasu żyję tylko ze sztuki. Tam malarz musi być związany z dobrą galerią, taką, która wystawia i sprzedaje. Ja związany jestem najbardziej z „Mosel und Tschechov Galerie” w Monachium. Na życie w Polsce patrzę poprzez romantyzm lat 70-tych. Przysięgam, że na początek nie tęskniłem za krajem. Dopiero po ośmiu latach zacząłem odczuwać niepokój. Czegoś mi brakowało. Tych osiem lat sprawdziło się to samo mówią inni, choćby pani córka Beata, która mieszkała w Berlinie Zachodnim. Następuje jakiś kryzys i człowiek bardzo pragnie znaleźć się tam, gdzie się urodził i wychował.

● Jak długo nie był Pan w Polsce?

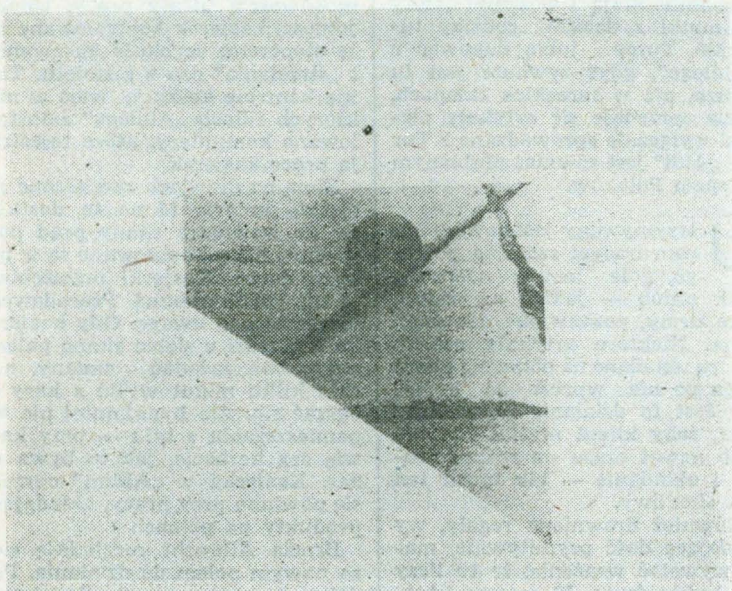
— Wytrzymałem jedenaście i pół lat. Przyjechałem, gdy zmienił się rząd i polityka. Chodzę teraz, patrząc, spotykam się z ludź-

mi i szukam czasu, który minął. Powtarzam sobie: „im dalej w las, tym więcej drzew”. Im dłużej tu jestem, tym trudniej mi cokolwiek zrozumieć. Toteż po prostu — nie wiem, jak obecnie żyją polscy artyści. Nie wiem, jak miałbym porównywać ich życie, z moim.

● Pańskie malarstwo krytycy nazywają religijnym. Dlaczego?

— To bardzo osobista historia. Studiując u prof. Spoerri wiele z nim przebywałem i rozmawiałem. Opowiedział mi o sobie. Jego ojciec był Żydem i został zagazowany. On uratował się, ale przestał wierzyć w Boga. Z tego powodu bardzo cierpiał, wciąż powracał do tych tematów. I w bardzo dziwny sposób prof. Spoerri, artysta niewierzący, wywarł na mnie taki wpływ, że ja zacząłem wierzyć. Zrozumiałem, jak wielka i ważna jest tradycja chrześcijańska i chrześcijańska kultura. Zrozumiałem, że na tych wartościach zostałem wychowany, że dzięki nim istnieję jako artysta — i to mnie do czegoś zobowiązuje. Stąd moje malarstwo jest, jakby to określić, mistyczne, ikonograficzne, ewangeliczne. Pełno w nim symboliki, czasem odległej ale dla wrażliwego odbiorcy czytelnej.

Ciąg dalszy na str. 8



Z tą grafiką wiąże się dziwne zdarzenie...

Jestem uczniem Klema

Ciąg dalszy ze str. 7

● Z grafiką, którą prezentuje nam obok, wiąże się dziwne zdarzenie, proszę opowiedzieć.

— Zrobiłem kiedyś trochę zdjęć, przedstawiających podstawowe formy — kulę, stożek, piramidę, w przyrodzie. Po pewnym czasie jedno z tych zdjęć posłużyło mi za temat do grafiki. Minęło parę lat — i oto trafiłem na bardzo stary tekst w języku niemieckim, napisany w 1583 roku przez Theodora Beza, będący werbalnym odbiciem mojej grafiki. Obok była rycina bardzo do mojej pracy zbliżona. To wprost nie samowite!

● Jak brzmi ten tekst?

— Podam go we własnym, dość dowolnym przekładzie: „Czy wi dzisz, że punkt środkowy otoczo ny jest przez zawsze taki sam okrąg? Dowodzi to, że ze wszy stkich stron otacza nas Niebo! Ten środkowy punkt jest Ziemią. Dlaczego jesteś smutny, dlaczego cierpisz — ty, którego z Ojczyzny wygnano? Gdziekolwiek byś nie poszedł, Niebo jest wszędzie”. Tytuł tekstu: „Wszecobecność Boga”.

● Co Pan myśli o współczesnej sztuce?

— Że jest eklektyczna. Neoklasycyzm, surrealizm, kubizm, tacyzm, abstrakcjonizm, manierizm i Bóg wie co jeszcze. Żyje my w epoce przejściowej. Może z biegiem lat coś się z tego wykształtuje.

● Jakie są najważniejsze bodźce dla artysty?

— Silne emocje. Miłość, nienawiść. Wielka radość, wielka rozpacz. Obojętność nie sprzyja tworzeniu.

● Czy w Köln spotyka się Pan z Polakami?

— O tak, często. Mieszkam w pobliżu Osteuropaisches Kulturzentrum „Ignis”, pracuje tam mój brat Mirek. Niedawno byliśmy na spotkaniu z Osiecką, potem z Daukszewiczem i Kieślowskim.

● Nosi Pan nazwisko trudne dla cudzoziemców.

— Obrazy podpisuję nazwiskiem artystycznym: Eric Mayen.

● Wkrótce powróci Pan do Köln. Z jakimi wrażeniami?

— Wyjechałem z Polski przed laty, żeby zostać dobrym malarzem. Teraz przyjechałem, żeby być jeszcze lepszym malarzem. Wracam bogatszy. Z wieloma refleksjami, które jeszcze poszerzę, gdy w ostatnich dniach pobytu w Polsce odwiedzę Częstochowę i Jasną Górę. Myślę, że może kiedyś uda mi się zrobić wystawę „Mistrz i uczeń”, złożoną z obrazów Klema i moich. Od Klema przejąłem coś, co nazywam alchemią malarstwa. Czuję się jego uczniem.

● Życzę pomyślności i do następnego spotkania w Zielonej Górze, oby — na wystawie Pańskich prac!

Rozmawiała HALINA ANSKA

Plastikowa torba w ukośne granatowe i białe paski z napisem „Aldi” jest najpopularniejszą spośród zachodnich „reklamówek” spotykanych w Polsce. Torbę taką można zobaczyć na każdej polskiej ulicy. Rok temu na placu targowym w Zielonej Górze kosztowała 300 zł. Teraz handlarze żądają tysiąc. W RFN i Berlinie Zachodnim taka „reklamówka” dokładana jest, na życzenie klienta, do zakupów, za drobną dopłatą 15 fenigów. Oczywiście do zakupów w sklepach firmy „Aldi”.

Potocznie mówi się „w Aldim”, częściej „u Aldiego”, co sugeruje, iż jest to nazwisko. Tymczasem właścicielami firmy są bracia Theo i Karl Albrechtowie. Do nazwy „Aldi” weszły tylko dwie litery ich nazwiska. Za to całym nazwiskiem nazwali kawę. Kupują od importerów i prażą we własnych zakładach. Kawa „Albrecht” słynie jako najtańsza, a przy tym, co podkreśla reklama, nie gorsza nawet od renomowanego „Jacobsa”.

nie utrzymać ustalonych na początku cen, umowa zostanie zerwana.

Przy ogromnym nasyceniu rynku wszelkimi towarami i istnieniu w wielu dziedzinach nadprodukcji, taka umowa jest dla producenta mimo wszystko korzystna, gdyż zapewnia mu stały zbył. W ten sposób „Aldi” przez dziesięć lat i dłużej kupuje po tej samej cenie — np. olej. Gdy cena oleju w konkurencyjnych sklepach idzie w górę, „Aldi” też ją nieco podnosi — i ta, nawet cał-

jakie posiadają sklepy innych firm.

Wystrojone i umalowane często do granic możliwości sprzedawcy nie w „Karstadzie”, po siedmiu latach pracy zarabiają brutto 2.100 — 2.300 DM miesięcznie i jest to góra, jaką mogą osiągnąć. Toteż nie one są królowymi w zachodnio - niemieckim handlu. Tytuły te przysługują niepozornym „szarym myszom” pracującym w sklepach „Aldiego”. Tu pracodawca nie żąda, by ekspedientka była wampem lub słodką Lolitą, nie stawia specjalnych wymagań co do fryzury i koloru paznokci. Żąda tylko uczciwej i dobrej pracy, a płaci po królewsku. Te wyglądające, nieciekawie, przepracowane kobiety zarabiają po siedmiu latach pracy 2.700 — 2.900 DM miesięcznie. „Aldi” stosuje bardzo wysokie premie od utargu. Każda z

Aldi - sklep dla ubogich

kiem nieznaczna podwyżka, idzie już w niezaplanowany zysk.

Każdego dnia od wczesnego świtu po RFN i Berlinie Zachodnim kręci się ponad tysiąc 32-tonowych ciężarówek typu „Mercedes”, z towarami dla sklepów firmy „Aldi”. Łączna waga dostarczanych towarów wynosi kilkadziesiąt tysięcy ton dziennie. W gigantycznych halach o powierzchni 20—30 tysięcy metrów kwadratu wchodzą, składowane są artykuły w 560 asortymentach.

Są tam kluski z Włoch, śledzie z Danii, kakao z Holandii, corned beef z Brazylii, wino z Hiszpanii i tak dalej. Część towarów, głównie świeże pieczywo, warzywa, owoce i nabiał, dostarczane są do sklepów wprost od producenta.

Panuje przekonanie, że sklepy „Aldi” przeznaczone są dla klientów mniej zamożnych — i same też są biedniejsze, niż sklepy innych firm. Istotnie, tak by się mogło wydawać. Zarówno klientela, jak i sprzedawczynie wyglądają skromnie. Stoją z wózkami emeryci, matki z dziećmi, rodziny tureckie. Turcy lubią kupować u „Aldiego”, gdyż żywność jest tu tańsza, niż w tureckich sklepach, gdzie sprzedaje się artykuły niemal wyłącznie sprowadzane z Turcji. „Aldi” jest również ulubionym sklepem Polaków.

Utrzymywany jest zawsze ten sam image: szorstka podłoga, gołe lampy neonowe, brak ozdób — jakich nie żałują inne firmy, pozbawione dekoracji okna. Niektóre artykuły celowo nie są układane na półkach i klient sięga po nie wprost do kartonu. Jest to działanie psychologiczne, żeby klient myślał, że nie było nawet czasu na rozpakowanie i układanie — tak towar ten jest chodliwy.

Również drewniane regały, wyglądające dość prymitywnie, mają wywołać wrażenie, że tu liczy się każdy fenig. W rzeczywistości te regały są droższe od nowoczesnych — z plastiku i metalu,

tych kobiet pracuje wprost do utraty tchu.

W sklepach, będących w gestii Karla Albrechta, są w ścianach wywiercone dziurki do obserwowania klientów. Theo Albrecht wprowadził u siebie lustra, także do parteru kasjerkom na palce. Kasjerce nie wolno mieć przy sobie własnych pieniędzy. Zabronione jest obsługiwanie krewnych i bliskich znajomych. Nie ma mowy o jakichkolwiek towarzyskich rozmowach podczas pracy.

Do jednego, spośród kilku nakazów podstawowych, należy opanowanie pamięciowe cen. Kasjerka musi mieć w głowie wszystkie ceny, na bieżąco, ponieważ w sklepach „Aldiego” ze względów oszczędnościowych cena nie jest naklejona na opakowaniu, lecz umieszczona tylko na regale. Każda kasjerka co wieczór powtarza sobie ceny, jak pacierz.

Jeśli w ciągu godziny kasjerka skasuje mniej, niż 2.000 DM, ucho dzi za słabą i musi się liczyć z możliwością utraty pracy. Umiejętności kasjerek kontrolowane są ze stoperem: szybkość kasowania i „strzelania” cen z pistoletu. Takie kontrole kosztują, więc w niektórych filiach „Aldiego” zainstalowano komputery, które rejestrują pracę kasjerek.

Zimą na drzwiach zawieszane są ciężkie kotary. Mimo to dostaje się do wewnątrz zimny prąd powietrza. Kasy usytuowane są w pobliżu drzwi. Kasjerki przeziębiamy się, często marzną. Pracodawca bierze to pod uwagę. Gdy kasjerka stwierdzi u siebie zimne palce, ma prawo zażądać zmiany, na czas kilku minut wyjść z kasy i ogrzać się. Ale bynajmniej nie w pomieszczeniu z tyłu — przy kawie czy herbacie, jak to bywa u nas. Kasjerka w „Aldim” ogrzać się powinna przy pracy, układając produkty na półkach.

Bracia Albrecht rozglądają się za nowym polem do działania. Podobno przysmykają się do utworzenia filii również w Polsce.

BEATA BARTOSIEWICZ

— Sprawą zbrodni katyńskiej od dwóch i pół roku zajmuje się polsko-radziecka komisja historyków partyjnych. Chcecie być dla nich konkurencją?

— Proszę pani, fakt iż polscy członkowie tej komisji twierdzą, iż mają świadomość tego, że całe społeczeństwo oczekuje od nich ostatecznego wyjaśnienia sprawy nie oznacza jeszcze, że oni te oczekiwania spełnili. Być może nie byli w stanie spełnić. Działalność naukowa wielu z nich wcześniej nie była związana ani z Katyniem, ani nawet z szeroko pojętą problematyką drugiej wojny światowej. Kilku innych natomiast w latach minionych próbowało nas przekonywać, że mord w Katyniu to dzieło Niemców.

— Ale teraz już nie przekonują. Czy nie obawia się pan, że będziecie dublować ich działania?

— Poza jedną jedyną ekspertyzą, eksper-

cjami gazet, na których adresy napływa również korespondencja dotycząca Katynia. Współpracujemy również ze sfederowanymi ostatnio rodzinami katyńskimi. Niektórzy z nas otrzymują pomoc naukową z Instytutu i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie oraz Studium Polski Podziemnej. Po- wiem jeszcze inaczej: nie zamierzamy współ- pracować z jedną jedyną grupą rodaków, mianowicie z hochsztaplerami, którzy posta- nowili zbierać na zbrodni katyńskiej pieniądze.

— W styczniu 1989 roku na łamach tygod- nika „Żorza” rozpoczął pan druk listy zag-inionych w Związku Radzieckim polskich żoł- nierzy — więzionych w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku. Dwa miesiące później w prasie pojawił się pański „Apel w sprawie uzupełnienia listy katyńskiej”. Domyślam, się, że w Komitecie nadal będzie pan zajmo- wał się właśnie tą kwestią.

— Zajmuję się nią głównie z powodów ro- dzinnych. W Katyniu zginął mój ojciec, je-

nie ma teczek jenieckich, zapewne zachowa- ły się jednak listy stanów obozowych. Albo listy żywieniowe. Albo listy selekcyjne do- prowadzone do wywózki w określonym dniu...

— Czy pańskim zdaniem Związek Radzie-cki zajmie oficjalne i jednoznaczne stanowi- sko w sprawie Katynia?

— Może należałoby zacząć od innego pyta- nia. Mianowicie pytania o powody tak prze- wlekłego oporu przed ujawnieniem prawdy. Otóż wydaje mi się, że my chyba nie w pełni zdajemy sobie sprawę z trudnej sytuacji, w jakiej znalazły się władze radzieckie. Wska- zanie NKWD jako sprawcy zbrodni dokona- nej na kilkunastu tysiącach polskich ofice- rów równa się przecież w konsekwencji po- ciągnięciu do odpowiedzialności winnych lu- doobójstwa i przyznaniu odszkodowań rodzi- nom pomordowanych. To zaś pociągnie za so- bą lawinę, bo w dalszej kolejności trzeba bę- dzie uregulować również rachunek krzywd wystawiony przez rodziny Polaków z lwow-

Biała czy krwawa plama?

Rozmowa z JĘDRZEJEM TUCHOLSKIM,

członkiem niezależnego Komitetu Historycznego Badań Zbrodni Katyńskiej

tyż Komunikatu przygotowanego w 1944 ro- ku przez Radziecką Komisję Specjalną, o- żadnych badaniach polskich członków tej ko- misji dotąd nie słyszałem. Pomijam już to, że nawet ten dokument — opatrzone nadru- kiem „Tajne!” — ponad rok przetrzymywa- no w szufladzie. Kiedy jednak nareszcie o- głoszono go w naszej prasie, okazało się, że jest to ekspertyza oparta niemal wyłącznie na znanych od dawna ustaleniach historio- grafii emigracyjnej.

— Czy nie jest ważniejsze to, że punkt po- punkcie zakwestionowano w niej wszystkie ustalenia raportu Burdenki?

— Moim zdaniem, skoro już powołano do- życia taką komisję, to powinna ona prowa- dzić również własne badania i ogłaszać własne ustalenia. Również tym bardziej, że w jakimś sensie jest to przecież wyścig z czasem, bo ci, którzy najwięcej pamięta- ją, więc rodziny pomordowanych: żony, bra- cia, siostry stopniowo odchodzą, zabierając ze sobą bezcenne informacje, na temat ich- bliskich... Zresztą chodzi nie tylko o wiado- mości, które możemy uzyskać od rodzin ka- tyńskich. Czy wie pani na przykład o tym, że żyją jeszcze — i to w kraju! — dwaj lu- dzie z ekspozytury smoleńskiej wywiadu Armii Krajowej? Znakomicie zakonserwowa- ni w Organizacji Todta w Smoleńsku, przez kilka miesięcy zbierali dokumentację do spra- wy katyńskiej. Zdobyty przez nich materiał trafił później w raportach Komendy Głów- nej Armii Krajowej do Londynu...

— Jakże więc własne badania zainicjuje- wasz Komitet?

— Ależ my niczego nie musimy inicjować! Powód powstania Komitetu był tylko jeden: chodziło o to, aby można było koordynować działalność, którą dotąd niezależnie od sie- bie prowadziło wielu ludzi. Zapewniam panią, że żaden z nas nie jest debutantem. Płk Marek Tarczyński od wielu lat zbiera ma- teriały dotyczące grobów pomordowanych oficerów i materiały do epitafiów. Stanisław M. Jankowski, autor zorganizowanej ostat- nio w Krakowie wystawy — zajmuje się do- kumentacją fotograficzną. Andrzej Chmiele- rz gromadzi pamiątki katyńskie i związa- ną ze sprawą katyńską dokumentację z lat wojny, m.in. raporty KG AK. Jacek Trznan- del kompletuje przede wszystkim korespon- dencję do i z obozów.

Nawiązałem również kontakty z Archi- wum Wschodnim, czyli z zakonserwowanym przez ostatnich dziesięć lat Instytutem Wscho- dnim, a jeszcze wcześniej z Radą Ochrony Pamięci, Walk i Męczeństwa oraz z redak-

cją Kozielska. Materiały katyńskie groma- dziłem już od lat. Znałem oczywiście opra- cowaną w Londynie w 1949 roku, Listę Ka- tyńską pana Adama Moszyńskiego. Kiedyś, wertując ją po raz tysięczny, zwróciłem uwa- gę na fragment wstępu, w którym autor na- pisał: „...ogłoszenie niniejszej Listy powinno być punktem wyjścia do dalszego uzupełnie- nia jej. Wykończenie tej pracy będzie oczy- wiście możliwe dopiero w Kraju, i to w Pol- sce wolnej, kiedy wszystkie rodziny zaginio- nych jeńców będą miały pełną swobodę ze- stawiania nazwisk swoich bliskich, o któ- rych pobycie w latach 39/40 w Kozielsku, Ostaszkowie lub Starobielsku posiadały wia- domości oraz kiedy będzie można ustalić szczęśliwe, a wyjątkowe wypadki odnalezie- nia się osób uważanych za zaginione”. Wła- śnie od tego się zaczęło. Postanowiłem pójść tropem wskazanym przez Adama Moszyń- skiego. Przyznam jednak, że efekty apelu o nadsyłanie wiadomości o jeńcach przeszły moje najśmielsze oczekiwania. Spodziewa- łem się 2-3 tysięcy listów, otrzymałem — ponad 7 tysięcy, a codziennie znajduję w skrzynce następne. W rezultacie już dziś dysponujemy ponad 4200 nazwiskami wię- zniów Starobielska, podczas gdy mjr Moszyń- ski ustalił 3300 nazwisk.

— Najmniej kompletna była lista jeńców z Ostaszkowa: zaledwie 1260 nazwisk spo- śród 6500 tam więzionych.

— Była najmniej kompletna, ponieważ wśród Polaków zgubionych w Ostaszkowie znajdowali się głównie policjanci, służ- by pomocnicze policji, Straż Graniczna, Kor- pus Ochrony Pogranicza, pracownicy sądów- nictwa, Służby Więziennej oraz tzw. dwój- ki, czyli wywiadu. Po wojnie rodziny jeń- ców z Ostaszkowa wołały ukryć fakt organi- zacyjnej przynależności swoich bliskich. Były przecież z tego powodu szykanowane. Ale dzisiaj listy napływają również od nich. U- staliłem już 4 tysiące nazwisk, brakuje za- tem 2,5 tysiąca nazwisk, a więc znacznie- mniej niż przed laty.

Oczywiście, jeśli w archiwach radzieckich znalazłyby się teczki personalne dotyczące- losów polskich jeńców, moja praca okaże się- niepotrzebna. Ale na pewno nie będę żalo- wał wysiłku, który w nią włożyłem.

— Wierzy pan, że te materiały jeszcze ist- nieją?

— Znając jednaką solidarność archiwistów- na całym świecie, nie sądzę, by archiwiści- radzieccy byli odmienni. Problem polega na- czymś innym — czy zdecydować się na ich- ujawnienie. Założymy jednak, że na polecenie- Berii materiały te zostały zniszczone. Jeśli

skich Brygidek, z Berezowca, z Traktu Mo- hylewskiego, Kołomy, Workuty, Magadanu. Ra- chunek, który wystawiają zapewne także Fi- nowie i wywożeni do łagrów w roku 1956 Węgrzy, a wreszcie i własne społeczeństwo- radzieckie, spośród którego w okresie stali- nowa wymordowano od 20 do 40 milionów- ludzi. My jednak domagamy się oficjalnego, otwartego ujawnienia całej prawdy o tym- bezprzykładnym w dziejach narodów mor- dzie, dokonanym na bezbronnych polskich- jeńcach.

— Czy jednak może zdarzyć się tak, że- pismo Prokuratury Generalnej PRL pozost- nie bez odpowiedzi?

— Milczenia nie da się przeciągać w nie- skończoność. Wyjawienie całej prawdy jest- niezbędne, jeśli ma się na uwadze autenty- cznie dobre stosunki między społecznościami- obu krajów. A ponadto zbliża się przecież- okres końca karencji na dokumenty przecho- wywane w archiwum Kongresu USA. Nie- byłoby na pewno przyjemne dla naszych- wschodnich sąsiadów, gdyby dysponując po- ważnym i wiarygodnym materiałem dowodo- wym Amerykanie ujawnili te materiały jak- o pierwsi, stawiając przysłowiową kropkę- nad i.

Naszą rozmowę zakończy jednak inną re- fleksją. Nie jest bowiem tak, że przeciwni- cy wyjaśnienia tej najczarniejszej z czarnych- plam znajdują się nie tylko w Związku Ra- dzieckim. Niestety, nie brakuje ich również- u nas. Demonstrowali swoją wściekłość, ob- rzucając kamieniami gmach krakowskiego- muzeum, gdzie Stanisław M. Jankowski przy- gotował swoją wystawę fotograficzną, demon- strując również w Warszawie. Pani Bożena- Łojkowska, która zgodziła się na opublikowa- nie w prasie swojego adresu, jako adresu- kontaktowego dla korespondencji naszego- Komitetu, kilka dni temu otrzymała wulgar- ny, brudny anonim, w którym grożono jej- śmiercią. Nieco wcześniej jacyś „nieznani- sprawcy” włamali się do jej samochodu, za- bierając jedynie teczkę z dokumentami Rodzi- ny Katyńskiej. W Przasnyszu i Zwierzynku- zdewastowano na cmentarzach miejsca, gdzie- była złożona ziemia przywieziona z Katy- nia. I jeszcze jeden mocny akcent: ksiądz- kanclerz Król, sprawujący pieczę nad parafią- św. Karola Boromeusza po śp. księdzu Nie- dziełaku (założycielu Mauzoleum Poległych- na Wschodzie), otrzymał dotychczas telefo- nicznie bądź listownie osiem wyroków śmier- ci. Ostatni kilka dni temu.

Rozmawiała: HALINA RETKOWSKA
Rozmowę przeprowadzono w listopadzie ub.r.

Publikujemy dalsze fragmenty wspomnień Borysa Bażanowa, który w latach dwudziestych protokolował posiedzenia Biura Politycznego partii bolszewickiej oraz był osobistym sekretarzem Stalina.

Często bywało i tak, że wychodząc z posiedzenia Biura Politycznego Stalin nie udawał się do domu lecz pozostał w Kremlu, rozmawiając z którymś z uczestników zebrania. W takich wypadkach przychodząc do niego do domu, czekałem na jego powrót. Tam poznałem jego żonę Nadieżdę Allilujewą, którą nazywałem po prostu Nadią. Poznałem ją bliżej i nawet się trochę z nią zaprzyjaźniłem. Nadią w niczym nie była podobna do męża. Była bardzo dobrym, przyzwoitym i uczciwym człowie-

wyjechała do rodziców do Leningradu, aby tam urodzić dziecko. Po powrocie powiedziała:

— Niech pan popatrzy na mój skarb. „Skarbem” tym była Świetłana.

(Córka Stalina — Świetłana urodziła się w 1925 roku. W latach dzieciństwa cieszyła się jeszcze pewnymi względami ojca i była z nim fotografowana w stroju pionierskim na znanych plakatach propagandowych. Winston Churchill pisze w swych pamiętnikach, że gdy w sierpniu 1942 roku przebywał w Moskwie i Stalin zaprosił go wtedy do swego mieszkania na Kremlu — to honory domu pełniła właśnie Świetłana. Na marginesie dodam, iż premier brytyjski ze zdumie-

ni mówić, a on jakby nie słyszał. Był jak gdyby nieobecny duchem. Stalin go nie lubił i rzeć można — prześladował.

(Nie mogąc tego ścierpieć próbował popełnić samobójstwo na wieść o czym ojciec powiedział: „Nawet tego nie potrafił zrobić” — M. H.)

Gdy Jakow chciał się dalej uczuć, posłał go do pracy, jako zwykłego robotnika. Ojca darzył Jakow skrywaną, głęboką nienawiścią. Do wybuchu wojny był po prostu całkowicie nieznany. Zmobilizowany i skierowany na front dostał się do niewoli niemieckiej. Kiedy hitlerowskie władze zaproponowały Stalinowi wymianę Jakowa, na generała niemieckiego, znajdującego się w niewoli radzieckiej, ten odpowiedział: „Nie mam

na niczym, wobec jego zdecydowanej postawy.

Niemcy chcieli go rzeczywiście wymienić, ale nie za generała, tylko za feldmarszałka Paulusa, który dostał się do niewoli radzieckiej pod Stalinem. Jak wspomina marszałek Żukow — Stalin miał wówczas odpowiedzieć: „Nie oddam marszałka za porucznika”. Gdy w tej samej sprawie zwrócił się do niego, na prośbę Niemców, Międzynarodowy Czerwony Krzyż — odpowiedział: „Nie mam żadnego syna w niewoli”. Było to zgodne ze stanowiskiem Stalina, iż wszyscy, którzy znaleźli się w niewoli, są zdrajcami ojczyzny. Jedyny wyjątek stanowili ci, którzy mogli zeznaniami świadków udowodnić, iż zostali wzięci do niewoli wprost z pola bitwy w stanie ciężkim, uniemożliwiającym jakikolwiek opór lub własnoręczne odebranie sobie życia. Wszyscy pozostali jeńcy, którzy zostali wyzwoleni bądź to przez Armię Radziecką, bądź też przekazani jej przez wojska alianckie,

Wspomnienia osobistego sekretarza Stalina

Dyktator w życiu służbowym i prywatnym

kiem. Nie była specjalnie ładna, ale miała miłą, szczerą i sympatyczną twarz. Była mniej więcej w moim wieku, ale wyglądała po ważniejszej i z początku myślałem, że jest starsza ode mnie. Była córką piotrogrodzkiego robotnika — rewolucjonisty, w którego mieszkaniu ukrywał się Lenin w 1917 roku, niedługo przed bolszewickim przewrotem. Miała ze Stalinem syna — Wasilija, który liczył wówczas pięć lat.

(Wasilij, któremu ojciec dał prawo noszenia nazwiska Stalin — w odróżnieniu od starszego syna Jakuba, który używał nazwiska Dżugaszwili — został lotnikiem i w czasie wojny doszedł do rangi generała-majora, dowodząc dwiema jednostkami lotniczymi. Odebrał się w walkach powietrznych. Po wojnie został dowódcą lotnictwa Moskiewskiego Okręgu Wojskowego. Niebawem zaczął hałasować i stał się jednym z czelowych playboyów moskiewskich. Cagle pijąc, został w końcu natęgowym alkoholiczkiem. Po śmierci Stalina, Chruszczow usunął go z Moskwy, zyskując do Kazania. Tam, będąc już w ostatnim stadium alkoholizmu, znalazł się w miejscowym szpitalu psychiatrycznym, gdzie zmarł. — M. H.)

W czasie znajomości z Nadią odniosłem wrażenie, że otacza ją jakaś pustka, nie miała przyjaciół, a mężczyźni chyba bali się zbliżyć do niej, bo a nuż Stalin powęźmie podejrzenie, że wprowadzi się jego żonę i wyprawi delikwenta na tamten świat. Zorientowałem się, że żona tego prawie już wówczas dyktatora odczuwa wielką potrzebę zwykłej, ludzkiej serdeczności. Oczywiście, nawet nie myślałem o tym, aby ją adorować, miałem zresztą wówczas swój własny romans.

Stopniowo opowiadała mi, jak toczy się jej życie. Było ono nad wyraz ciężkie. W domu Stalin był prawdziwym tyranem. Wtedy, w latach 20. musiał jeszcze stale panować nad sobą w stosunkach z obcymi. Za to wobec żony pokazywał swe prawdziwe oblicze. Czasem Nadią opowiadała mi wdychając:

— Trzeci dzień milczy, z nikim nie rozmawia, nadzwyczaj trudny człowiek.

Ale rozmów o Stalinie ze zrozumiałych względów unikałem. Dobrze już zdawałem sobie wtedy sprawę, kim on jest. Biedna Nadią dopiero wówczas odkrywała mi całkowitą amoralność i nie ludzkość jego natury.

W pewnym momencie Nadią

niem odnotował, że głównym daniem tego przyjęcia było całe pieczono prosię podane w kaszy gryczanej. Na konferencji teherańskiej dokąd Churchill zabrał swoją córkę Sare, a Roosevelt swego syna Elliota, Świetłana swemu ojcu nie towarzyszyła. Tak samo było na konferencji Jaltańskiej, a zagadnięty w tej sprawie przez Churchilla Stalin — odpowiedział wybijając.

Świetłana wychodziła parokrotnie za mąż: najpierw za syna bliskiego współpracownika Stalina — Andrieja Zdanowa, następnie za moskiewianina Pawła Morozowa i wreszcie za mieszkańca w Moskwie Hindusa. Gdy ten zmarł i miał być pochowany w Indiach, wyjechała do Delhi i tam korzystając z okazji zgłosiła się do ambasady amerykańskiej, z prośbą o udzielenie jej azylu w USA. Na osobiste polecenie prezydenta Johnsona, który powiedział wówczas: „Jeden był tylko Stalin — jako wielki sojusznik Ameryki” — została niezwłocznie, specjalnym samolotem, przewieziona do Waszyngtonu, gdzie natychmiast otrzymała prawo stałego pobytu w Ameryce. Wyszła tam za mąż za znane amerykańskiego architekta, a za tom wspomnień o swym ojcu otrzymała honorarium w wysokości 12 milionów dolarów. Po rozwodzie przeniosła się do Anglii, po czym z trzynastoletnią córeczką powróciła nieoczekiwanie do ZSRR. Przywrócono jej tam obywatelstwo radzieckie, po czym znów niespodziewanie opuściła Moskwę, udając się z powrotem do Anglii — M. H.)

Po moim odejściu z sekretariatu Stalina, tylko z rzadka już spotykałem Nadię. Kiedy Sergo Ordżonikidze został przewodniczącym Centralnej Komisji Kontroli, wziął do siebie Nadię jako sekretarkę.

Będąc kiedyś w tym sekretariacie, ostatni raz z nią rozmawiałem. Rozmawialiśmy długo i po przyjacielsku. Pracując u Ordżonikidze — odżyła. Sergo był bardzo miłym człowiekiem i stwarzał wokół siebie przyjemną atmosferę. W ogóle był dobrym człowiekiem z natury, więc Nadią po prostu rozkwitła, pracując razem z nim.

(Nadieżda Allilujewa, druga żona Stalina, popełniła samobójstwo w 1932 r., po dramatycznej sprzeczce z mężem — M. H.)

W domu Stalina mieszkał również jego starszy syn z pierwszego małżeństwa — Jakow. Nazywano go po prostu Jaszka. Był to bardzo skryty i milczący młodzieniec. Wyglądał na zahukanego. Uderzała jedna jego cecha, którą określiłbym jako „nerwową głuchotę”. Zawsze robił wrażenie pogrążonego w jakichś swoich wewnętrznych przeżyciach. Można było zwracać się do niego

syna”. Jakow pozostał w niewoli i w okresie cofania się wojsk hitlerowskich został przez gestapowców rozstrzelany.

(Prawda historyczna o Jakowie Dżugaszwili przedstawia się następująco. Ukończywszy krótko przed wojną, studia politechniczne, został inżynierem budowlanym. Był oficerem rezerwy w stopniu lejtnanta. Natychmiast po wybuchu wojny zgłosił się do wojska i jako artylerzysta wyruszył na front w charakterze dowódcy baterii. Wzięty do niewoli w sierpniu 1941 r. podczas próby wyrwania się z okrażeń, zachowywał się w obozie jenieckim z dużą godnością. Stanowczo odmawiał — pomimo nacisków — współpracy z Niemcami, sprzeciwił się kategorycznie próbom zwerbowania go do kolaboranckiej armii Własowa. Chciano, aby napisał chociaż list do Stalina, lub przynajmniej podpisał propagandową ulotkę niemiecką. Wszystkie te usiłowania speliły

zostali zesłani, przeważnie na okres bezterminowy, do syberyjskich łagrow. Ich dramatyczne losy opisał m.in. Aleksander Solżenicyn w swym „Archipelagu Gulag”. Jeśli zaś chodzi o wojenne losy syna Stalina — Jakowa Dżugaszwili, to nie został on — jak utrzymuje Bażanow — rozstrzelany przez gestapowców w czasie odwrótu Niemców, lecz zdesperowany rzucił się sam na okalające oboz jeniecki druty pod napięciem elektrycznym i w tej dopiero chwili został do bity strzałami z wieżyczki strażniczej — M. H.)

Reasumując wszystko co powiedziałem o Stalinie, a jako je go sekretarz osobisty mogłem to najlepiej zaobserwować, mogę jedynie stwierdzić, iż był to głęboko amoralny człowiek, z wyraźnymi przestępczymi skłonnościami.

Wybór, przekład i oprac.
MICHAŁ HOROWICZ



Stalina przedstawiano jako wiecznie młodego...

Fot. Archiwum

Kiedy zaczynaliśmy nasz „papierowy mecz” Zielona Góra — Gorzów, zapowiadaliśmy, że będzie to gra bez fauli i szwindli. To się chyba udało. Nie wiedzieliśmy natomiast, że grać można właściwie nieskończenie a tymczasem zaczął się już nowy sezon sportowy 1990. Ponieważ do punktacji zaliczyliśmy osiągnięcia przedstawicieli poszczególnych dyscyplin sportowych w 1989 roku, pora zatem nasz „mecz” zakończyć...

Lubuską „świętą wojnę” zdążyliśmy dotąd rozegrać w pięciu, bardzo popularnych dyscyplinach sportowych. Przypomnijmy dotychczasowe wyniki meczu Zielona Góra — Gorzów: żużel 1:1, piłka nożna 0:1, kolarstwo 1:1, koszykówka 1:0, siatkówka

szzone, zwykle pokryte kurzem w archiwach, bibliotekach lub szufladach. Szkoda, bo złożyłoby się to w pasjonującą historię sportu na Ziemi Lubuskiej. Żał tym większą, że w obecnych, ciężkich czasach trudno byłoby na raz wydrukować te spisane dzieje, nawet gdyby znaleźli się ludzie chętni do podjęcia iście benedyktyńskiej pracy.

Nasze publikacje, dotyczące „papierowego meczu”, choć do punktacji zaliczyliśmy najnowsze osiągnięcia, były też okazją do skrótego zarysowania dziejów poszczególnych dyscyplin sportowych na Ziemi Lubuskiej. Owa skrótość, wynikająca z braku miejsca, ale także i z zawodności ludzkiej pamięci, nie pozwoliła na rozwinięcie

nych wychowanków, związanych z miastem i klubem. Na szczęście, nasze poknięcie nie wpaczyło wyniku „papierowego meczu”. Koszykówkę wygrała Zielona Góra...

Do koszykówki nawiązał też Jerzy Malik ze Świebodzina. Otóż w dzieje basketu na Ziemi Lubuskiej proponuje wpisać także zasługi ośrodka świebodzińskiego. Rzeczywiście, swego czasu była tam dobra sekcja prowadzona przez grupę zapalcenców, która wychowała kilku zdolnych koszykarzy, choćby wspomnianego już dzisiejszego red. Mieczysława Więckowicza. Przypominam sobie, że na początku lat siedemdziesiątych do sali gimnastycznej świebodzińskiego liceum zaprowadził mnie człowiek — legenda tamtejszego sportu — Zbigniew Szarek i z dumą pokazał mi świetną tablicę wyników. Wówczas pierwszą tego rodzaju w województwie!

Edmund Kopyciński z Sulęcina zaproponował, by na łamach „Nadodrza” zaprezentować tych, którzy przed laty tworzyli zrebry sportu w małych miejscowościach Ziemi Lubuskiej. Sam takich spotkał bardzo wielu pod czas długoletniej pracy w charakterze inspektora rejonowego LZS i szefa delegatury OZPN w Sulęcinie. Zapewnia, że wielu zasłużonych działaczy sportowych żyje dziś w zapomnieniu, a nierzadko na pożegnanie nie doczekali się od władz nawet ciepłego słowa...

Leon Grześ z Gorzowa wyraża gotowość opowiedzenia o powojennych czasach piłkarskich. Wiele jego wspomnień dotyczy spraw sędziowskich. Sam przez długie lata był arbitrem piłkarskim, gdy na mecze jeździło się nawet... rowerami.

Damian Przybylski — trener siatkówki z Sulechowa, jeden z twórców niegdyśszej po tegi Zawiszy Sulechów, stwierdza, że żał trochę tych pięknych chwil, które minęły. Jest jednak dobrej myśli. Wierzy, że kiedy dźwigniemy się z trudności gospodarczych i dla sportu powrócą dobre czasy...

Z kolei Marcel Kalina, były piłkarz ręczny Warty i AZS Gorzów, zgłasza chęć podzielenia się wspomnieniami, dotyczącymi dziejów piłki ręcznej na Ziemi Lubuskiej. Ta dyscyplina też przyniosła sporo sukcesów naszemu sportowi i z pewnością zasługują na szerszą wzmiankę zawodnicy, trenerzy i działacze silnych niegdyś ośrodków piłki ręcznej w Gorzowie, Zielonej Górze, Głogowie, Sulechowie, Świebodzinie, Żaganiu czy Nowej Soli...

Czytelnicy przekazali nam jeszcze wiele innych uwag i spostrzeżeń. Możemy zapewnić, że będą bardzo pomocne w doborze tematów do kolejnych artykułów sportowych. Ciekawostką stanowi przy tym fakt, że żaden z Czytelników nie podważył naszych wyników w „papierowym meczu” w poszczególnych dyscyplinach sportowych. W tym była zatem zgodność...

Wierzymy, że nasi Czytelnicy zgodzą się również z propozycją polubownego zakończenia naszej zabawy. Proponujemy mianowicie, by ostateczny rezultat meczu Zielona Góra — Gorzów był remisowy.

W pierwszym odcinku, konczącego dziś cykl napisaliśmy: „Od zarania lubuskiego sportu trwa „święta wojna” między Gorzowem i Zieloną Górą. W latach powojennych była to tylko niewinna zabawa. Jeszcze do lat sześćdziesiątych można było uważać, że idzie wyłącznie o prestiż i dodatkowy smaczek rywalizacji sportowej na różnych arenach. Zresztą z tego okresu wywodzi się wiele przyjaźni między sportowcami, trenerami, działaczami i kibicami, które często trwają do dziś. W latach siedemdziesiątych owa „święta wojna” zaczęła jednak swój pierwotny sportowy charakter. Zaczęło dochodzić na stadionach do wielu wybryków, które prawdziwych sympatyków sportu mogły tylko smucić... Myślę, że nie ma potrzeby rozgrzebywać starych ran. Dziś już nie jest istotne, skąd się te antagonizmy wzięły. Najważniejsze, by wreszcie zanikły, bo nie ma to wiele wspólnego ze sportem i kulturą”.

Oby tak się stało...

Kończmy „świętą wojnę” zawsze polubownie — jak Piotr Świst i Andrzej Huszcza zakończyli ostatni mecz żużlowy Stal Gorzów — Falubaz Zielona Góra...

Fot. STANISŁAW MALAS

KRZYSZTOF HOŁYŃSKI



„Świętą wojnę” zakończmy polubownie

0.1. Po tych grach prowadzenie Gorzowa 4:3. Dziś koniec a rozgrywka.

Ponieważ do końca roku zabrakłoby tygodni, by w każdym omówić jedną z dziedzin sportu, a uprawia się ich na Ziemi Lubuskiej bardzo wiele, ostatnią grę przeprowadzimy w bardzo skróconej formie. Chciałoby się wiele ciepłych słów napisać pod adresem dziesiątek, jeśli nie setek, zawodników, trenerów, działaczy i sędziów. Wiele z nich poświęciło się dyscyplinom mniej popularnym, ale wymagającym równie wiele serca i fachowości. Niektórzy działają z dala od zgiełku stadionów i hal, bez wielotysięcznych widowisk. Uznaniem należy im się tym większe, że lubuski pejzaż sportowy bez nich byłby bardzo ubogi. Wprawdzie co jakiś czas podnoszą się głosy, by odgórnie zdecydować, jakie dyscypliny sportu mają być uprawiane w lubuskich województwach a z pozostałymi należy dać sobie spokój, ale przecież nie wszyscy młodzi ludzie mogą i chcą uprawiać — powiedzmy żużel czy piłkę nożną. Niektórzy znajdują spełnienie swych marzeń w strzelectwie, hokeju na trawie, luznietwie, lekkiej atletyce itp.

Inna sprawa, że w obecnej sytuacji ekonomicznej, swoistej selekcji na mapie sportowej regionu swoje dokonania... prozaiczny stan kas klubów i organizacji sportowych. Taka jest prawda. Z punktu widzenia buchalterów, innego wyjścia nie ma. Nie będzie pieniędzy, nie będzie danej dziedziny sportu. Z kolei ze społecznego punktu widzenia jest to wielka szkoda dla ruchu sportowego. No, bo jak uzaśnić konieczność likwidowania jednych sekcji, a pozostawiania innych, bazując jedynie na twardych prawach ekonomiki. Kto może wytłumaczyć pięcioboistom, szermierzom, zapasnikom czy pływakom, że jego sport jest mniej potrzebny, niż futbol czy żużel?

Jeśli trzymać się konsekwentnie zasad naszego meczu, czyli brać pod uwagę osiągnięcia, zanotowane w ubiegłym roku na arenach sportowych, musimy skłonić się ku remisowemu zakończeniu tej zabawy. Już choćby z poprzedniego akapitu wynika, że niezwykle trudno wszystko wymierzyć, biorąc pod uwagę wielką różnorodność dyscyplin uprawianych na środkowym Nadodrzu.

Parę razy, przy okazji tekstów z tego cyklu, pojawiała się konstatacja, że warto by w miarę wnikliwie opracować historię lubuskiego sportu z podziałem na poszczególne dyscypliny. Są wprawdzie prace (najczęściej magisterskie, ale także doktorskie i inne), bogate w informacje zsywki prasowe, kroniki i monografie klubów i związków sportowych, zbiorów prywatne, ale wszystko to bardzo rozpro-

NA KANAPIE W STYLU EMPIRE

Z Barbarą Mielnik,
właścicielką sklepu komisowego z antykami
rozmawia Ewa Foss

— Ulica Moniuszki 9 w Zielonej Górze, ubocze śródmieścia. Mimo to u Pani stale ruch. Bardzo ładnie wymyśliła Pani sobie ten sklepik. Skąd pomysł?

— Po zlikwidowaniu salonu „Desy”, postanowiłam spróbować czegoś na własną rękę.

— Od kiedy ten sklep istnieje?

— Od pół roku. Otworzyłam go w czwartek 13 lipca, w myśl ubiegłorocznego horoskopu „Nadodrza”, który osobom spod znaku Strzelca sugerował, że jest to szczęśliwa data.

— I taką się okazała?

— Chyba tak. Robię to, co lubię. Jest to „pogodny interes”.

— Za każdym razem, gdy do pani wchodzi, widzę coś, czego przedtem nie było.

— Niemal każdego dnia ktoś coś wstawia, a ktoś inny coś kupuje.

— Na jakich zasadach wstawia?

— Wspólnie z właścicielem ustaliliśmy cenę, a po sprzedaniu odtrącam 25 procent. Z tych wpływów pokrywam podatki, koszty utrzymania sklepu i oddaję 9 procent „Społem”, za użyczenie lokalu.

— Co pani przyjmuje, a czego nie?

— Przyjmuję meble, szkło, obrazy, zegary, ramy, wyroby artystyczne.



Fot. KRZYSZTOF MEŻYŃSKI

styczne, rzemieślnicze i różne stare przedmioty. Nie biorę nic, co zostało wyprodukowane po 1945 roku.

— Skąd się Pani zna na antykach?

— Pięć lat studiowałam historię sztuki. Dwanaście lat kierowałam zielonogórską „Desą”. Posiadam weryfikację Ministerstwa Kultury i Sztuki. Jest to podstawowy dokument przy ubieganiu się o koncesję na wycenę i handel.

— Na co jest największy popyt?

— Na pokoje stołowe i sypialnie. Dużo osób pyta o komplety starych mebli.

— Ile kosztował najdroższy mebel, jaki Pani tu miała i co to było?

— Był to narożnikowy bufet fornirowany, w bardzo dobrym stanie, z bogatą snycerką. Został kupiony za trzy miliony.

— Czy był taki mebel, który stał długo, aż został zwrócony właścicielowi?

— Nie, takiego nie miałam.

— Stoją dwie witrażowe szafy. W jednej prawie same przedmioty kruche. Co się Pani tu najbardziej podoba?

— Porcelana. Jest naprawdę śliczna.

— A w drugiej szafie co uznaje Pani za najciekawsze?

— Haftowaną bluzkę haculską. Jest to część stroju panny młodej. No i te przepiękne stare serwety.

— W swoim mieszkaniu też lubi Pani stare przedmioty?

— Oczywiście. Ale nie posiadam nic specjalnie cennego.

— Najdziwniejszy przedmiot, jaki się Pani trafił?

— Buty. Jedne damskie, zamszowe, sznurowane strasznie „bajeranckie”. Szybko zostały dostrzeżone i kupione. Widzę je czasem, moja klientka je nosi. Druga para, były to damskie oficerki. I trzecia: fińskie sabotki, do wystawienia przed drzwi, gdy chodzi święty Mikołaj.

— Czego życzyłaby sobie Pani w Nowym Roku?

— Żeby mi się trafił dobry, sygnowany obraz. Miałam raz taki, ze znakiem katalogowym, przedstawiał pejzaż morski. Poszedł za trzyście tysięcy a teraz kosztowałby co najmniej milion. W ogóle chciałabym żeby przybywało mi towaru i robiło się tu ciasno.

— Czy nie złości Panią, że więkkszość ludzi nie kupuje, tylko ogląda?

— Skądże! Oglądam wraz z nimi. Lubię patrzeć na antyki i rozmawiać o nich.

PANOPTIKUM

DZIECKO, KTÓRE JEST STARUSZKIEM

Fransie Geringer jest starcem. Na głowie ma jednego włoska, skórą pomarszczoną, trzęsący się głos i ręce. Podczas zimnej pogody miewa reumatyczne bóle w kościach. Powypadały mu wszystkie zęby.

Fransie Geringer ma osiem lat. To dziecko z cechami fizycznymi 80-letniego starca cierpi na rzadką chorobę, zwaną progerią. Jego organizm starzeje się dziesięć razy szybciej, niż normalnie.

Za dwa-trzy lata ten chłopak z Republiki Południowej Afryki prawdopodobnie umrze na zawał serca. Pod koniec życia będzie cierpiał na zwiórczenie mięśni, niewydolność nerek i tępotę serca.

Przyczyny progerii nie zostały dotychczas zbadane. Niektórzy naukowcy dopatrują się jej źródła w złej przemianie materii, inni w niedoczynności nadnerczy. Jednomyslni są co do tego, że progeria nie jest dziedziczna. Potwierdza to przypadek w rodzinie Geringerów. Fransie ma starszego brata, który rozwija się normalnie. Do pierwszego roku życia Fransie był normalnym niemowlakiem. Początek niesamowitych przeobrażeń pierwsza zauważyła matka:

— Wyglądał inaczej niż inne dzieci. Stał się poważny. Dostał zmarszczek na buzi. Poczęły mu wypadać włosy. Zgarbił się i w ciągu kilku lat stracił zupełnie cięło. W tej chwili składa się jedynie z kości i skóry...

Rodzice jeździli z synem od lekarza do lekarza. Nie zdołano pomóc dziecku. Obecnie Fransie Geringer biologicznie mógłby być ojcem swych rodziców. Zdaje sobie sprawę ze swej choroby i wie, że niedługo umrze.

— Mimo wszystko nigdy nie słyszę, aby Fransie się skarżył. Jest dzieckiem pogodnym — mówi matka.

O podobnym przypadku poinformowała świat prasa chińska. W Szanghaju żyje 4-letni chłopczyk z oznakami niezwykle szybkiego starzenia się. Waży obecnie 5 kg, jest łysy i pomarszczony. Przed dwoma laty na tę samą chorobę zmarła jego starsza siostra. I w tym przypadku również oboje rodzice są zdrowi i normalnie fizycznie.

DOROSŁY, KTÓRY JEST DZIECKIEM

To nazwisko figuruje w księdze Guinnessa: Nelson de la Rosa. Sławę osiągnął niezamierzanie. Przyniosło mu ją jego nieszczęście. Nelson ma 71 cm wzrostu i uważany jest za najmniejszego człowieka świata. Przyczyną tej anomalii jest wrodzona wada funkcyjna przysadki mózgowej.

Nelson od dawna jest mężczyzną dorosłym. Mieszka w San Domingo, stolicy Republiki Dominikańskiej. Jest w mieście postacią znaną. Chodzi po ulicach i robi coś w rodzaju osobliwego show. Za opłatą pozuje z turystami do zdjęć. Za opłatą dodatkową pozwala się wziąć na ręce.

— Wiem, że się wygłupiam i robię z siebie błązna — mówi — ale mam mamę i czworo młodszych rodzeństwa. Zdarza mi się przynieść do domu 20 lub więcej dolarów pod koniec dnia. To dla nas dużo. Poprawia mi się samopoczucie. Czuję się przydatny, potrzebny, zapominam o moim kalectwie.

Nelson chciałby coś zaoszczędzić. Mam nadzieję, że kiedyś jemu i jego rodzinie uda się wydobyć ze slumsów San Domingo. Jakże marzenia?

— Chciałbym być lekarzem — wyznaje — to moje największe marzenie, choć wiem, że beznadziejne. Trzy razy wydano mnie z różnych szkół, ponieważ nauczyciele uznawali, że wprowadzam zbyt wiele zamieszania swoją postacią. Uczniowie zajmowali się mną a nie nauką.

Nelson nie lubi się skarżyć. Chętnie się uśmiecha. Jest dla wszystkich życzliwy. Ale, jak mówi, czasem jest mu bardzo przykro.

— Nigdy nie będę mógł jeździć samochodem, choćbym bardzo chciał. Nigdy nie zagram w baseball i basketball, choć pasjonuje mnie ten sport. Moje dłonie mają rozmiary rącek niemowlaka, co mogę zrobić takim rączkami?...

Ludzie nazywają go Pinocchciem od imienia postaci ze znanej książki dla dzieci. Nelson czytał tę książkę i historia Pinocchia jest mu bliska. Myśli, że może jemu również tak jak tamtemu z książki zaświecić kiedyś szczęście?

Jest mimo wszystko optymistą — w swoim życiu dostrzega także pozytywne strony.

— Mogę jednocześnie żyć w świecie dorosłych i w świecie dzieci, czy wiecie, jakie to bywa czasem fascynujące?

O czym jeszcze marzy dorosły mężczyzna, który innym sięga kolan?

— Chciałbym poznać dziewczynę, która pod zewnętrzną powłoką dziwłaga i wybruku natury zobaczyłaby we mnie mężczyznę i człowieka...

Thumaczyła i opracowała:
ANNA ZAND

Profesor Zbigniew Brzeziński znów przed kilkunastu dniami wypowiedział się przez radio warszawskie i przez polskojęzyczny „Głos Ameryki” o kilku istotnych sprawach dla Polski, Europy i na temat ZSRR.

Autoritatywnie, acz życzliwie, podzielił się także swoimi dobrymi radami. Przypomnijmy, że prof. Brzeziński jest Amerykaninem polskiego pochodzenia. Był doradcą prezydenta USA d/s bezpieczeństwa w ekipie Cartera (1976-1980). Był więc nr. 2, w najgorszym przypadku nr. 3 w tej ekipie. Polityka jest jego zawodem, przedmiotem badań i powołaniem. Tak to sam określił na niedawnej konferencji prasowej w odpowiedzi na jedno z pytań, które brzmiało „Czy pan żyje z polityki, czy dla polityki?”

— Jedno i drugie — odpowiedział.

Cóż tedy Profesor radzi Polakom? Radzi szybko zmierzać do unii lub choćby federacji z Czechosłowacją. Gwarantuje, że jedna i druga strona dobrze na tym wyjdzie. Profesorowi można wierzyć. Przemawia za nim osobiste doświadczenie. On ma unię w domu. Nie wiem jednak, co na ten temat sądzi jego małżonka, córka czechosłowackiego dwukrotnego prezydenta Benesza (do 1948 roku). W czasie drugiej wojny światowej Benes oraz generał Władysław Sikorski, premier polskiego rządu oraz naczelny wódz, przez jakiś czas poważnie myśleli o unii. Było to jednak wtedy, gdy żaden z nich nie był u siebie w domu, za to byli obok siebie, obaj na emigracji, w Londynie.

Pozbywając się ironii wypada przyznać, że taka unia lub federacja, to nie byłaby zła rzecz. Zjednoczony, blisko 60-milionowy potencjał ludnościowy... nierównoważna, ale i nie do zlekceważenia przeciwwaga, gdyby w przyszłych, zjednoczonych Niemczech obudzili się z powrotem stare apetyty. Także 60-milionowy rynek stanowi poważną przesłankę do szybszego rozwoju ekonomicznego takiego organizmu. Czyli roi się przyszłościowa szansa samodzielności gospodarczej, szansa nie bicia wasalami zbyt wielkich Niemiec.

Jeśli dom państwa Brzezińskich, ma takie same wpływy — choćby tylko propagandowe — w Czechosłowacji, jak wśród części opinii polskiej... należy być dobrej myśli.

Póki co jednak, Czesi, a i Słowacy również, nie kwapią się. Liczą. Ich rachunki nie są dla nas przyjemne. Bo z rachunku wynika, że aktualnie łączenie się z Polską byłoby dla nich kiepskim, jeśli nie mocno ryzykownym

interesem. Jako państwo, Czechosłowacja ma się pod względem gospodarczym, całkiem nieźle. W porównaniu z Polską ich zadłużenie jest drobnostką. Przeciętna czeska rodzina ma się też nieźle. Dochód narodowy u nich nie spadał od 20 lat. Ani globalnie, ani w przeliczeniu na mieszkańca. Jaki to interes łączyć się z organizmem gospodarczo rozchwianym choć politycznie błyskotliwym?

Czesi, owszem, przeprowadzili reformy polityczne. Wtedy, kiedy to było najmniej ryzykowne. Nawet sobie, jak wiemy, postrajkowali: w godzinach wolnych od pracy. Z dobru przyswajanej matematyki oraz z obserwacji sąsiadów wiedzą i widzą, z czego się

kochają się obie zbiorowości. W każdej z nich przejawianie uprzedzeń do drugiej jest w dobrym tonie. Adam Michnik jest przyjacielem serdecznym obecnego prezydenta Czechosłowacji, czy też na odwrót. Może wyjdzie z tego unia?

Profesor Brzeziński radzi też upatrywać kozyści Polski w dezintegracji, wręcz rozpadzie ZSRR. Zarazem jednak sygnalizuje niebezpieczeństwo próżni politycznej w tej części Europy, niebezpieczeństwo dla Polski realne. Przebąkuje więc o potrzebie dogadywania się z Rosją. Konia z rędem temu, kto takie rady zrozumie.

Inny Polak z pochodzenia, znany brytyjski komentator Krzysztof Bobiński („Financial Times”) mianowicie, nie traktuje poważnie sugestii Profesora. (Ten sam Bobiński, który był korespondentem swojego pisma w Warszawie, gdy Urban był rzecznikiem prasowym, a gdy Urban był przestał — wrócił do Londynu, bo się znudził). Opinię Bobińskiego szerzej przytaczać nie trzeba. Tytuł i ranga gazety, w której pracuje, wyznaczają tor jego argumentacji. Z pominięciem uprzedzeń — zbieżny czechosłowackim.

Biorąc pod uwagę skutki jego doradztwa dla Cartera (sromotna przegrana w walce wyborczej o drugą kadencję prezydencką), też trzeba być ostrożnym w zasięganiu rad.

Nie wspomniano tu o wszystkim, bo to ze względu na dopuszczalną objętość tekstu jest niemożliwe. Ale jeszcze jednej — już nie rady, a wręcz zarzutu — pominąć nie wypada. Brzeziński jest niezadowolony ze zbyt wolnego tempa przemian politycznych w Polsce. Bo jeszcze nowa siła przewodnia nie wyeliminowała wszystkich wpływów lewicy.

Edward Benes prawicowcem raczej nie był. Jeśli jego córka przejęła coś z poglądów społeczno-politycznych ojca, mogłaby swojego małżonka nieco utemperować. Choćby ze względu na pamięć o tym, iż, gdy wybitni przedstawiciele polskiej lewicy i centrolewicy byli przed wojną zagrożeni w Polsce represjami, zwiawali także do Czechosłowacji i tam znajdowali gościnę i schronienie dzięki będącej u władzy ekipie Benesza (przed Mołotowem).

Premier Mazowiecki powiedział wyraźnie, że myśliwym nie jest i nie będzie. Brzeziński go jednak namawia do polowania (na czarownic). Organizuje mu nawet nagonkę. Polityczno — pedagogiczne hobby.

FRANCISZEK BRODZIK

Pan profesor radzi...

po jakimś czasie biorą puste półki w sklepach i pieniądze bez pokrycia. Już po wyborze swego nowego prezydenta mówili do naszych dziennikarzy: — z pewnością w naszych reformach nie pójdziemy polską drogą. Niedługo znacznie, choć i nie wprost dawali do zrozumienia, że nie marzy im się prywatyzacja na siłę, a już na pewno nie zamierzają, w imię odwróconych dogmatów, gnębić zdrowych przedsiębiorstw uspołecznionych. Nie zamierzają ich też rozpieszczać i w tym celu wpuszczać konkurencję. Żeby dóbr przybywało, a pracy nie brakowało. Polacy niech zbierają procenty od swojego politycznego pionierstwa — oddzielnie. Nie wiem, czy pani Brzezińska nawet gdyby chciała, będzie w stanie odwieść swoich byłych ziomków od takiego sposobu myślenia. Jakże im udowodnić, że nie mają racji?

Zasłój historyczne też się liczą. Ukształtowały one uprzedzenia po obu stronach. Nie

TELEMORELE

Jarmark próżności

Nie zawiedli artyści, nie zawiodła publika. Razem zarobili kilkadziesiąt milionów złotych na zbożny cel. Podopieczni ojca Jarka otrzymają talerz gorącej zupy.

Tak wyglądałaby relacja w rzadziej gazecie z koncertów filantropijnych. Jak wszędzie na świecie — urzędowy optymizm. I ślicznie. W tym konkretnym przypadku pogodzone bowiem cztery grupy społeczne. Konkretnie zaś mówiąc: grupy interesów.

Nasi znakomici artyści występują gratis. W zależności od woli publiki, muszą wstępować na deski sceniczne od dwóch do czterech razy. Plebiscytarna formula koncertu naraża na sporą dawkę stresów. Jak bowiem pokonać po zastalych, równie popularnych i lubianych przez masową widownię? Nic więc dziwnego, że wkładają w te sobotnie koncerty tyle serca i wysiłku. Za darmo.

Zarabia telewizja. Dzięki szla-

chetnej akcji otrzymuje ponad godzinny program, kosztujący w normalnych warunkach kupę pieniędzy. Proszę pamiętać, że do artystów trzeba doliczyć honoraria dla scenografów, muzyków, reżysera, producenta, kamerzystów, itd. Oprócz telewizji zarabiają najbardziej. Rzecz jasna, symbolicznie. Smał trafia na konto, a potem to już zgodnie z wolą bożą.

Trzecią grupę potrzeb prezentują zaproszeni goście. Większość z nich tryska grubym szmałem. Towarzystwo miesza, ale po estetyce ubiorów można trafić bez pudła: świat kantorowo-butikowy na polską skalę. Z uwagą przyglądałem się ich reakcji. Zwłaszcza wtedy, gdy zgłaszali wolę przekazania pieniędzy. Ileż dumy i radości malowało się na ich twarzach. Ileż pewnością siebie, a przede wszystkim pychy.

Organizatorzy filantropijnych koncertów dobrze wiedzą, co robią. Muszą doskonale znać mentalność swoich ofiarodawców. Ci bowiem nawet nie przypuszczają, na jaką śmieszność się narażają. I to publicznie. Grają bowiem — zupełnie serio — rolę wielkich filantropów, deklarując jednocześnie zupełnie mizerne sumy. Od 30 do 50 tysięcy zł. Ot, taka pańska fanaberia.

Kamera jest bezlitosna. Pod fałszywą przykrywką beztroskiej zabawy drga jedno pragnienie — pokazać twarz publicznie. Zaistnieć w roli wybrańca losu. Tego, któremu się udało. Tak więc za miast deklarowanej pokory chrześcijańskiej otrzymujemy trywialny jarmark próżności.

Na koniec warto wspomnieć po nowie o artystach. Ale już w innym kontekście. Co prawda występują gratis, ale udział w koncercie ma wymierne walory. Choćby środowiskowe. Pokazanie się w takim programie jest autematycznym potwierdzeniem własnej obecności na topie. Bo skoro

jestem, to znaczy muszę być jednym z najlepszych...

Próżność zawodowa nie jest niczym złym. Właściwie naturalnym. I dla artystów, i dla dziennikarzy, i dla księgowych. Spróbujmy jednak wyobrazić sobie, że ktoś odmawia udziału w programie z powodu braku czasu. Wtedy, prawdopodobnie, zostanie to warzysko potępiony. Jako nieczuły, aspołeczny, a nawet (uwaga) niechętny ideałom solidarności społecznej. Ciekawe, który z naszych wielkich potrafiłby znieść taką opinię?

A tak już na marginesie. Lubie oglądać wtorkowe popisy ministra Kuronia. Tak samo lubię oglądać popisy ministra Urbana. Z tych samych powodów. Wyrażając zadowolenie wolalbym jednak, aby minister wziął się za swoje prawdziwe obowiązki, po zostawiając organizację filantropii wyspecjalizowanym instytucjom. Tak kościelnym jak i społecznym. Przykład sobotnich programów rozrywkowych pozwala spokojnie patrzeć w przyszłość. Jest jeszcze sporo próżności do wykorzystania...

1990.01.15
PIOTR MAKSYMIAK

Symptomatyczne jest, że teatru w Zielonej Górze stojącego przed niewiadomą „być albo nie być”, broni „Nadodrza”, którego egzystencja także stoi pod znakiem zapytania. Taka jest wymowa puenty postawionej przez dziennikarza, który na Zieloną Górę popatrzył z zewnątrz, a przyjechał zainteresowany opublikowanym w „Nadodrzu” tekstem pt. „Bunt w teatrze”.

Działo się to w czasach zamierzalnych, przed kilkoma miesiącami, gdy chleb kosztował dwieście złotych, w zbuntowanym teatrze rosło „Wysypisko”, a nasz wydawca dyrektor Zbigniew Pietkiewicz kupował papier gazetowy z puli RSW po bajecznie niskich cenach.

Dzisiaj za bochenek chleba trzeba zapłacić kilka tysięcy, tyle sa-

wszelką bylejakością, nędzą intelektualną, pseudoartystycznymi tworzydłami i erzatem, które szerzą się, jak epidemia.

Sęk w tym, że Kozłowski — dyrektor z Kozłowskim — reżyserem źle wymierzili kroki. Intencje ukryte są gdzieś głęboko i może dlatego nie dochodzą ze sceny do widza. Za to docierają niedostatki przedstawienia, wśród jeden z nich największy: brak elegancji. Mniszkówna zachwycała się arystokracją. Tutaj arystokracja jest po prostu dziadowska. Jako tako prezentują się też czyżni. Ale panie hrabiny wyglądają, jakby dopiero co opuściły stragany. Mówią krzykliwie, gestykulują i poruszają się w sposób daleki od wymogów bon-tonu.

W czasie przerwy znajoma nauczycielka ze Starego Kisielina

dialogi zakochanych zbyt długie. Za to na fortepianie panna Stefcia Rudecka gra własnoręcznie, za co aktorce należy się punkt.

Upozowany na hrabiego Macieja Wojciech Deneka jest dość już upadłym kombatantem swojej sfery — i śmiesznym starszym. Za każdym razem gdy wjeżdża na swoim wózku, wywołuje reakcję widowni. Rozśmieszyła mnie, choć płakała rzewnie, Krystyna Zylńska jako matka Stefci. Także Jacek Jackowicz (hrabia Barski) udający, że jest ojcem Aldony Paczkowskiej (hrabianka Melania). Ciekawie zagrany przez Wojciecha Romanowskiego hrabia Trestka, to postać mało znacząca, ale dzięki tej interpretacji dająca się zapamiętać. Świetny epizod Romana Grabowskiego — „voilà”! Poza tym Sigrid Siewior w stroju hurysy i Małgorzata Wower w stroju do konnej jazdy,

nia sali po brzegi. Jak mówi reżyser „Edukacji Rity” Zbigniew Lesień, „aktorstwo to niesamowicie trudny zawód, pełen napięć, stresów, to również oczekiwanie na akceptację, ciepłe słowo, brawa wieńczące ciężki okres przygotowań...”. Aktorzy istnieją dla nas i co najważniejsze, nigdy bez nas. Mamy teatr, więc pomóżmy mu, interesujemy się nim, w nim bywajmy. Chcąc udokumentować swe poparcie, kupiłam bilet wstępu na premierę za pięć tysięcy złotych, choć miałam zaproszenie. Wbrew plotkom szampan był niezły, a piłam go nie ze słoika, lecz z pięknego kieliszka...

Słowo zawsze jest słowem, bez względu ile kosztuje papier, na którym zostało wydrukowane. Ogryzek zaś — ogryzkiem. Wojna na ogryzki nie poprawi sytuacji ani teatru, ani „Nadodrza”.

Teatr i życie

Rzucanie ogryzków

mo lub więcej za kilogram papieru, zaś na wysypisku wyładowała właśnie „Trędowata”. Czytałam gdzieś, że poleciały za nią słoiki po musztardzie z resztkami niedopitego podczas premiery szampana. I ogryzek wymierzony w dziennikarkę „Nadodrza”.

W teatrze jak w życiu, dzieje się różnie, czasem dobrze, czasem źle. Bunt na statku minął i na mostek wszedł nowy kapitan. Zniknął „Karawan”, schowała się za horyzontem „Balladyna”. Tylko z oddali jeszcze dobiega poszczekiwanie „Brytana Brysia”. Na małym pokładzie trwa pracowita, wygrana w szczegółach „Edukacja Rity”. Na dużym męczy się, aż do śmiertelnego skutku, nieszczęsna „Trędowata”.

Autorka powieści „Trędowata” weszła do historii literatury wraz ze swym grafomańskim dziełem. Weszła też do kinematografii i teatru. „Dzieło” miało bowiem dwie ekranizacje i kilka opracowań scenicznych.

Dyrektor Janusz Kozłowski czuje się nieswojo. Dlatego zamiast programu wydrukował „Usprawiedliwienie”. Czytamy tu rzecz oczywistą: że „...szaleństwem jest porównanie się do stosunków z ewidentnym kiczem, w sytuacji, gdy tzw. opinia publiczna domaga się uzasadnienia racji istnienia teatru”. I dalej: że tylko obłęd może usprawiedliwić dyrektora teatru, który zajmuje się tandetą, podczas gdy na wystawienie czekają wartościowe dzieła... Skoro tak, to dlaczego dyrektor udaje wariata?

Otóż dlatego, ponieważ pokazuje kicz na scenie, uświadamia w/w opinii publicznej istnienie kiczu i szmiry — w życiu. Oglądając „Trędowatą” widz powinien poczuć się ostrzeżony przed

powiedziała mi, że zawiodła się, bo oczekiwała parodii. A tu — wszystko serio. Ale siedząca przede mną pani ocierała łzy. Myślałam, że płacze ze śmiechu, dowiedziawszy się, iż księżną Podhorecką został zgoliwszy uprzednio swój rotmistrzowski wąs, na wieki wieków amant Sławomir Krzywiński... A jednak pani ta wzruszyła się naprawdę, kilka innych osób — też. Co jest? Nic. Jest normalnie. Ludzie jeszcze nie stępieli. Po zjedzeniu kromki chleba prawdopodobnie zabierają okruchy i wysypują ptakom.

Więc cikliwa historia, opowiedziana napuszonym, pełnym bzdur językiem („Zmysły wypetziły mu na usta...”, „Uspiłas we mnie lampart...” itp.), mimo wszystko kogoś wzrusza... Zdziwiający jest fenomen „Trędowatej” i jej koleżanki „Niewolnicy Isaury”. Myślę, że przyczyny powodzenia takich dzieł mają wspólny rodowód. Wypływają z prostej, ludzkiej tęsknoty do miłości, której w życiu jest mało, a której człowiek pragnie, czasem podświadomie i zdarzyć się może, że nigdy nie osiąga. Poza tym są to opowieści o małżeństwach i ich spełnieniu się. Każdy trędowaty kopciuszek nie chce być niewolnicą i marzy o zostaniu żoną pięknego i bogatego mężczyzny.

W obu filmach „Trędowatymi” były Elżbiety: w przedwojennym Barszczewska, w powojennym Starostecka. Janusz Kozłowski rolę tę powierzył Tatianie Kołodziejkiej — smukłej i wiotkiej, w typie polskiej, skromnej panienki z lat 30-tych. Jej partnerem jest wysoki, postawny Zbigniew Moskal. Oboje tworzą malowniczą parę, jak z przedwojennej pocztówki i recytują swe kwestie, jak przykazał reżyser. Sceny miłosne są trochę drewniane,

czyli kochanki Waldemara: była i niedoszła.

Na czoło wysuwa się postać niczemu niewinna, choć patrząc na nią można sądzić, że to ona ponosi odpowiedzialność za wszystko, co się tutaj dzieje. Mianowicie: pielęgniarzka dziadka Macieja. Nie wypowiada ani słowa. Za to jej zachowanie, gesty oszczędne lecz wymowne, mimika widoczna pomimo ogromnego czepek i okularów, są bardzo czytelnym komentarzem do wydarzeń rozgrywających się na scenie. Czatowanie, aż dziadek podczas mówienia otworzy usta na tyle, by wrzucić mu tabletkę, jest chyba najlepszym momentem w całym przedstawieniu. Postać tę kreuje nówą aktorka Dorota Wierzbicka.

Scenografia Janusza Tartyły, widać, że oszczędna, mogła być bardziej pomysłowa i lepiej osadzona w realiach opisanych przez Mniszkównę.

Urządzenie premiery w wieczór Sylwestrowy było dobrym pomysłem. Szkoda tylko, że odpowiednio wcześniej nie pomyślano o reklamie. Były szanse wypełnie-

A w żadnym wypadku nie przybędzie od niej chleba. Ani papieru na gazety. Ani życzliwości, o której co dzień przypominają artyści w okienku TV, tak bardzo potrzebnej w naszym domu.

HALINA AŃSKA

Teatr im. L. Kruczkowskiego w Zielonej Górze, „Trędowata” Heleny Mniszkówny w adaptacji Joanny Olczak.

WYKONAWCY:

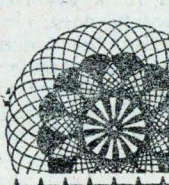
Tatiana Kołodziejka, Zbigniew Moskal, Wojciech Deneka, Dorota Wierzbicka, Elżbieta Donimirska, Małgorzata Wower, Wojciech Romanowski, Sławomir Krzywiński, Iwona Kotzur, Jacek Jackowicz, Aldona Paczkowska, Jerzy Glapa, Tadeusz Bartkowiak, Sigrid Siewior, Roman Garbowski, Krystyna Zielińska, Zdzisław Grudzień

Scenografia Janusz Tartyła
Reżyseria Janusz Kozłowski
Premiera 31 grudnia 1989 r.

MŁODZIEŻOWA AGENCJA
MATRYMONIALNA

- wszelkie informacje bezpłatnie -
skrytka 1827 Wrocław 46

K-75



23. I – WTOREK

PROGRAM I

- 8.35, 10.50 „Domator”
8.50 „Domowe przedszkole”
9.25 „Stacja końcowa” — film fab. prod. CSRS
11.10 W Europie nowożytniej
12.00 Spotkania z lit., kl. IV lic. — Polska poezja współczesna (1)
13.30, 14.00 TTR — Prod. rośl. i zw. (3)
14.30 TKR — Prawidłowy dój
15.00 Spotkania z lit. — Liryka epoki pozytywizmu (powt.)
15.30 „Kim by?” — pr. dla mat.
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 „Tik — Tak”
17.30 „Spojrzenia”
17.55 „Klinika zdrowego człowieka”
18.15 „System”
18.45 „10 minut”
19.00 Dobranoc „Przygody kocha Damiana”
19.10 „Sekrety telewizji” — pr. publ.
20.15 „Chichot Pana Boga” (1) — film TP, reż. T. Kijański
21.35 Sport
21.45 „Listy o gospodarce”
22.20 Dt — Echa dnia
22.35 „Muzyczny remanent '89”
23.35 „Wódka, pozwól żyć...”
0.05 Język rosyjski (14)

PROGRAM II

- 16.55 Język angielski (44)
17.30 „Klub ludzi z przeszłością”
18.00 Program lokalny
18.30 Modlitwa wieczorna
18.50 Program publicystyczny
19.30 Magazyn narciarski
0.00 „Przeboje Bogusława Kaczyńskiego”
21.00 W kręgu sztuki: „Współcześni fotografowie — Peter Lindbergh” — swajc. film dok.
21.45 Studio im. Karola Irzykowskiego „Niedzielne igraszki” — film prod. polskiej
22.40 Komentarz dnia

24. I – ŚRODA

PROGRAM I

- 8.10 Poznaj swój kraj
8.35, 10.50 „Domator”
8.50 „Domowe przedszkole”
9.25 „Wystrzał” — jug film fab.
11.10 Najnowsze dzieje Polski
12.00 Spotkania z lit., kl. II lic. — Juliusz Słowacki — „Kordian”
12.50 Wśród ludzi — Prasa
13.30, 14.00 TTR — Prod. rośl. i zw., sem. I
14.30 TKR — Zapobieganie chorobom wymienia
15.00 Współczesna genetyka
15.30 NURT — Rozmowy o edukacji
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: „SOS”
16.50 „Cojak” — teleturniej
17.30 „Gry wojenne”
17.55 TV informator wydawniczy
18.15 „Dawniej niż wczoraj” — mag.
18.45 „10 minut”
19.00 Dobranoc „Wyprawy Baltazara Gąbki”
19.10 Oferty „Pegaza”
20.05 „Chichot Pana Boga” (2) — film TP
21.20 Sport
21.30 „Plus — minus” — pr. publ.
22.30 Publicystyka
22.20 „Wokół wielkiej sceny — mag.
23.10 Dt — Echa dnia
23.30 Język angielski (14)

PROGRAM II

- 16.55 Język francuski (12)
17.30 „Zbliżenia, czyli to i owo filmie”
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn „102”
19.00 „Pokój niżej” (3) — „Niemiecki gość” — serial prod. ang.
19.30 „Indie” — pr. dok.
20.00 Przegląd PKF
20.40 „Przegląd muzyczny”
21.00 „Ze wszystkich stron” — „Gorący Sachalin” — rep.

- 21.45 „Przyjaciele” (4) — film TP
23.15 „Telewizja nocą”
24.00 Komentarz dnia

25. I – CZWARTEK

PROGRAM I

- 8.05 Rytm ciała
8.35, 10.10 „Domator”
8.50 „Domowe przedszkole”
9.25 „Policjanci z Miami” (13) — s. kryminalny prod. USA
11.10 Historia, kl. I lic. — Polska w dobie rozbięcia dzielnicowego
11.40, 16.10 MEN — informuje
12.00 Spotkania z lit., kl. IV — Leon Kruczkowski — „Niemcy”
12.50 Fizyka — Grawitacja
13.30, 14.00 TTR — Chem. i biol. (1)

- 20.05 „Trzydziesty ósmy” — film prod. austr.-RFN
21.40 Sport
21.50 „Kontrapunkt”
22.20, 23.40 Spór o jutro — Otwarte Studio
23.20 Dt — Echa dnia

PROGRAM II

- 17.30 „Wzrockowa lista przebojów”
18.00 Program lokalny
18.30 „Za chwilę d.c. programu”
19.30 „Dookoła świata” — „Austrialia '88”
20.00 Magazyn „Piątek”
21.45 Filmy Woody Allena — „Wnętrze” — film prod. USA
23.15 Komentarz dnia
23.20 „Porno” Marka Kotarskiego

tydzień w TV

23 – 29 STYCZNIA 1990 R.

Codziennie: 17.15 — Teleexpress, 9.15, 19.30 — Wiadomości (pr. I); 21.30 — Panorama dnia (pr. II)

27. I – SOBOTA

PROGRAM I

- 7.00, 7.30 TTR — Prod. rośl. i zw., (1)
8.00 „Tydzień na działce”
8.20 „Na zdrowie” — pr. rekr.
9.00 „Drops” — film z s. „Jelonek”
10.30 Dt — Wiadomości
10.40 „Epitafium dla króla Tatry” — reportaż Zofii Haloty
11.05 „Zdrowie”
11.35 „Laboratorium”
12.05 „Po czasach wojen” — rep.
12.45 „Szkoła mistrzów” — Krzysztof Kieślowski
13.05 TV Teatr Prozy — Zofia Nałkowska „Grania” (3)
14.35 „Prezydenci” — Calvin Coolidge
15.00 Filmy o miłości: „Roman i Magda” — film prod. polskiej
16.45 „Flesz” — mag. muz. rozr.
17.30 „Butik”
18.00 Program publicystyczny
19.00 Dobranoc „Przygody misia Colargola”
19.10 „Z kamerą wśród zwierząt”
20.05 Kino Muzyczne Kydryńskiego „Lili” — film prod. USA
21.30 Sport
21.50 „Tydzień w polityce”
22.00 Program rozrywkowy
23.10 Telegazeta
23.20 Kino sensacji: „Klub wampirów — film prod. ang.

PROGRAM II

- 10.55 „Trzy godziny z TV Katowice”
13.55 „W świecie czyszy”
14.25 „5 — 10 — 15”
15.55 Studio Sport — Puchar Świata w narciarstwie alpejskim — Bieg zjazdowy mężczyzn
16.50 „Dookoła świata z Michałem Jacksonem”
18.00 Program lokalny
18.30 „Legenda filmu”, John Wayne
19.30 „Alfa i omega”
20.00 Przed Konkursem Chopinowskim
20.50 Recital zespołu „Kult”
21.45 „Znowu w Brideshead” (4) — serial prod. ang.
22.40 Komentarz dnia
22.45 Studio Foksal '89

28. I – NIEDZIELA

PROGRAM I

- 9.00 „Telerańek” oraz „Uciekaj, Rebeko, uciekaj” (2) — f. ang.

- 10.30 Dt — Wiadomości
10.35 „Złoto” (7) — wł. serial dok.
11.15 „Kraj za miastem”
11.45 TV koncert żywych
12.30 Teatr dla Dzieci — Hanna Januszewska „Biwak z przyśpiewkami”
13.05 Sportowa niedziela — Puchar Świata w narciarstwie alpejskim — Supergigant mężczyzn
14.05 Program publicystyczny
14.25 „Pieprz i wanilia”
15.10 „Antena”
15.35 „Panna dziedziczka” (37) — s. prod. brazylijskiej
17.30 Japoński zespół dziecięcy
18.00 „Muzyczna telewizja”
19.00 Wieczorynka „Siostrzeńcy Kazora Donalda”
20.05 „Dekalog, osiem” — serial TP
21.05 „7 dni — Świat”
21.35 Sport
22.15 Program publicystyczny
22.30 Filmy Józefa Blachowicza: „Oblicze zbrodni” (3)
23.15 Telegazeta

PROGRAM II

- 9.45 „Przegląd tygodnia” (dla niesłyszących)
10.20 Film dla niesłyszących: „Dekalog, osiem” — serial TP
11.15 „Krótkofalowcy”
11.45 „Jutro poniedziałek”
12.20 Polska Kronika Filmowa
12.30 Cyrk francuski
13.00 „100 pytań do...”
13.40 Kino familijne: „Bajarz” (15) — film prod. ang.
14.05 Maciej Niesiołowski z batutą i z humorem
14.20 „Polacy” — film dok.
14.55 Podróże w czasie i przestrzeni: Biblia a historia (2) — s. ang.
15.50 Biografie: „Gore Vidal” — film dok. prod. ang.
16.50 „Nad Niemnem, Piną i Prypcią” — Mereozowszczyzna
17.10 Magazyn żeglarski
17.30 „Bliżej świata” — TV-sat.
19.00 „Wywiady Ireny Dziedzic”
19.30 „W ojczyźnie serce me zostało” — reportaż
20.00 Studio Sport
21.00 Wojciech Młynarski — najnowsze piosenki
21.45 „Wojna i pamięć” (22) — s. USA
22.45 Komentarz dnia
22.50 Akademia wiersza

29. I – PONIEDZIAŁEK

PROGRAM I

- 14.30 TKR — Pielęgnacja bydła
15.30 NURT — Sens życia
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 „Teleferie najmłodszych”
16.45 Kino Teleferii: „Przygrywka” (1) — serial TP
17.30 „Gorące linie”
17.55 „Oto mistrz” — rep.
18.30 Program publicystyczny
18.45 „10 minut”
19.00 Dobranoc „Mały szop”
19.10 „W Sejmie i Senacie”
20.05 Teatr Telewizji: Władysław Terlecki „Cyklop”, reż. Izabella Cywińska
21.45 Sport
21.55 Program publicystyczny
22.10 „Zawsze po 1-szej” — mag.
22.55 Dt — Echa dnia
23.10 Język francuski (3) — powt.

PROGRAM II

- 16.55 Język angielski (15)
17.30 Antena „Dwójki”
17.45 „Ojczyzna — polszczyzna”
18.00 Program lokalny
18.30 „Zmagania o Polskę” (4) — „Okupacja” — ang. s. dok.
19.30 „Życie muzyczne”
20.00 „Auto — Moto — Fan — Klub”
20.30 Program rozrywkowy
21.45 „Heimat” — serial prod. RFN
22.45 Komentarz dnia

● Redakcja nie odpowiada za zmiany dokonane w ostatniej chwili przez TVP.

Tygodnik Społeczno-Kulturalny — Pismo Lubuskiego Towarzystwa Kultury. ADRES REDAKCJI: Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13, I piętro oraz dla korespondencji: 65-958 Zielona Góra skrytka pocztowa 40. Telefon: redaktor naczelny 708-35, z-ca red. naczelnego 39-13 oraz centrala 46-61 do 67 (dlaży telefony wewnętrzne). Telex 0432258 REDAGUJE KOLEGIUM: Halina Ańska-Skarbek Krzysztof Holyński Janusz Koniusz (red. naczelny), Zenon Łukaszewicz (z-ca red. naczelnego), Wiesław Nodzyński, Ryszard Rowiński oraz Leszek Hermanowicz (red. graf. techn.). Korekta: Beata Bartosiewicz Sekretariat redakcji Elżbieta Waleńska WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch” Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe, al. Niepodległości 23 65-042 Zielona Góra, skrytka pocztowa 31 Centrala telefoniczna 46-61 do 67 Dyrektor naczelny: Zbigniew Pietkiewicz tel. 717-95 DRUK: Drukarnia Prasowa ZWP, 65-076 Zielona Góra ul. Reja 5 OGŁOSZENIA przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydaw-

nictwa Prasowego oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie kraju Ponadto sekretariat redakcji „Nadodrże” Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada Materiałów tekstowych oraz zdjęć nie zamówionych redakcja nie zwraca. W przypadku wykorzystania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skrótów i zmian tytułów.

PRENUMERATA: Informacji o warunkach prenumeraty udzielają Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” i urzędy pocztowe Zlecenie wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centrala Kolportażu i Wydawnictw, 00-950 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto P.B.K. XIII Oddział Warszawa 370044-1195-139-14. Prenumerata jest droższa od prenumeraty krajowej o 100 procent. Zam. 11 N-21

Na przełomie kolejnych lat tradycyjnie już odbywają się w sporcie różnorodne podsumowania, plebiscyty, klasyfikacje i rankingi. Wszystko to jest bardzo umowne, wszak niezwykle trudno po równać klasę sportowców za pomocą papierowych wyliczeń, zwłaszcza jeśli dotyczą przedstawicieli bardzo odmiennych dyscyplin. Nie ulega jednak wątpliwości, że to sympatyczna zabawa i — jak słusznie twierdzi red. Roman Siuda — stanowi wyraz uznania społecznego dla trudu sportowców, a także ich opiekunów.

Od wielu też lat organizatorem plebiscytów na najlepszych i najpopularniejszych sportowców naszego regionu jest „Gazeta Lubuska”. Od czasu, gdy nastąpił podział administracyjny kraju (do dziś wzbudzający wiele dyskusji), konkurs prowadzony jest oddzielnie dla województw gorzowskiego i zielonogórskiego. Bardzo różne wyniki notowali lubuscy sportowcy w poszczególnych latach, różny był też odbiór społeczny tych osiągnięć. Ostatnimi czasy jakby zmalało zainteresowanie plebiscytem, mniej wpływa kuponów, ale to wcale nie oznacza, że zmniejszyło się zainteresowanie samym sportem. Ta dziedzina życia nadal ma liczne rzesze sympatyków, a większość czytelników codziennych gazet rozpoczyna ich lekturę od kolumny sportowej. Ta mniejsza ilość kuponów, to również odbicie naszego zagonionego trybu życia. Często nie mamy czasu, by napisać choćby krótki list do najbliższych...

Plebiscyty są świetną zabawą, gdy stanowią spontaniczne głosowanie sympatyków sportu. Stają się smutną grą, gdy różni ponury ludzie jakiegoś „swojego nazwiska” niezbyt sportowo usiłują umieścić na liście laureatów. W poprzednich latach tak, niestety, zdarzało się, o czym swego cza-

su nieśmiało wspominał red. Mieczysław Więckiewicz. W rezultacie końcowe „dziesiątki” czasami wydawały się cokolwiek podejrzane. W sumie jednak sam sens plebiscytowych zabaw nie został do końca zabity i wypada tylko wierzyć, że wspomniane gry i gierki przejdą do niechlubnej historii.

Wprawdzie terminy głosowań w najnowszej edycji lubuskich plebiscytów już mijają, lecz i ja postanowiłem przyłączyć się do zabawy. Niby rok 1989 nie był nazbyt obfitujący w sportowe sukcesy, a jednak przy wyborze czołowych dziesiątek, jak każdy chyba głosujący, miałem sporo kłopotów. W odróżnieniu od red. Tadeusza Cegielskiego z Radia i red. Jana Delijewskiego z „Ziemi Gorzowskiej”, którzy podali swoje listy w kolejności alfabetycznej nazwisk, postanowiłem nieco bardziej zaryzykować i ustalić konkretne miejsca. Dziesiątki „Nadodrza” przedstawiają się więc następująco:

Gorzów: 1. Zenon Jaskuła, 2. Maria Gontowicz-Szałas, 3. Piotr Świsł, 4. Piotr Diakonów, 5. Zenon Burzawa, 6. Roman Bartuź, 7. Lucyna Wierzbicka, 8. Paweł Wypisniak, 9. Andrzej Szykowski, 10. Mariola Silwończyk.

Zielona Góra: 1. Grzegorz Krawców, 2. Zbigniew Spruch, 3. Andrzej Huszcza, 4. Anna Sulima, 5. Mariusz Kaczmarek, 6. Aleksandra Strychalska, 7. Sławomir Nawrocki, 8. Katarzyna Weiss, 9. Julita Macur, 10. trójka akrobatyczna Gwardii (A. Borowczyk, B. Jagielik, M. Poźniak).

Listę zielonogórską było nieco łatwiej ustalić, bo kandydaci, po-

ponowani przez „GL”, prezentują tylko dziewięć dyscyplin, pod czas gdy gorzowski kanonazgi aż piętnastu. Ułatwienie to jednak niewielkie. Ponieważ miejsc, jak zawsze, było mniej, niż sportowców godnych miana laureata, za stosowałem w paru przypadkach „odpowiedzialność zbiorową”. I tak: na liście gorzowskiej Jaskuła występuje również w imieniu innych znakomitych kolarzy — zwłaszcza Edwarda Piecha i Józefa Grochały z POM Strzelce, Diakonów reprezentuje pozostałych świetnych waterpolistów Stilonu, a Burzawa — piłkarzy (zwłaszcza Wiesława Osieckiego). Podobnie na liście zielonogórskiej: Spruch firmuje osiągnięcia innych kolarzy, (przede wszystkim braci Bondaryków i Bychków z Bizona Bieganów), Sulima — pięcioboistów, M. Kaczmarek — koszykarzy, J. Macur — plejadę strzelców, a Huszcza — żużlowców.

Tym razem pierwszych miejsc nie zajęli żużlowcy — przedstawiciele sportu najsympatyczniejszego na Ziemi Lubuskiej. Może w następnych plebiscytach powrócą na szczyty...

Z ciekawą inicjatywą przy okazji plebiscytu gorzowskiego, wystąpił wielki znawca i sympatyk sportu, szef przeźnej gorzowskiej firmy „Colinea” — Andrzej Waszkiewicz. Zapropował mianowicie, by miano honorowego sportowca roku przyznać sportowcowi — inwalidzie z Dębna — Waldemarowi Prasnowskiemu. Znakomity pomysł i tylko mu przykładać. Inna sprawa, że — jak zauważył sam A. Waszkiewicz — nie jest to nowa myśl. Przy sposobności dotknął jednak sprawy, do której wrócić w następnym tekście...

KRZYSZTOF HOLYŃSKI

Sylvester Stallone strasznie podpadł europejskiej publiczności. Zwłaszcza tej, żywiącej spore sympatie do ruchów liberalnych i ekologicznych. Po nakręceniu kilku odcinków „Rambo”, nasz bohater przyleciał do Holandii. Prywatnym samolotem odrzutowym. Proszę sobie wyobrazić jego wściekłość, gdy później na lotnisku za stał samolot w dziwnym stanie. Tak zwani nieznani sprawcy wymalowali kadłub czarną farbą i ozdobili białymi napisami — Rambo, ty faszysto, oraz — Rambo, wracaj do domu. Pycha.

Sylvester Stallone wrócił zły do Ameryki. Ale i tam karta się odwróciła. Reagan zrezygnował z wojowniczej frazeologii, a propaganda wykonała gwałtowny skręt w lewo. Czasy na wspaniałych, niezłomnych chłopców powoli odchodziły w niebyt zimnej wojny. Spadła popularność dzielnego Rambo.

Jego odtwórca musiał się przy stosować. I w ten sposób powstał film „Osadzony” z naszym Sylwestrem w roli głównej. Tym razem nie kreuje herosa, młodziśkiego kilka pułków wojska jednym uderzeniem maczugi. Wręcz odwrotnie. Zaprzecza swoim poprzednim wcieleniom. Jego bohater jest byłym przestępcą, odsiadującym karę więzienną.

To warto zobaczyć. Stallone znany z poprzednich wcieleni jako uosobienie arogancji, grzeszenie kłania się każdemu strażnikowi, przyjaźnie go gawędzi o pogodzie, rybach i zepsutych samochodach. No, po prostu chodzący ideał.

Ale nie na długo. Zły dyrektor więzienia bierze się za jego reedukację. Mówiąc krótko, chce wykończyć naszego aniołka. Ten zaś dwoi się i troi, aby odwieść Lucyfer od złych zamierzeń. Prawie że izami w oczach błaga: dyrektora odstęp, bo nie wytrzyma. (Być może przekreślę dia log, ale to było coś w tym stylu).

No i stało się. Anioł zemsty pochwycił miecz, aby wymierzyć sprawiedliwość. Znowu więc widzimy dzielnego Sylwestra, samotnie walczącego z silniejszym przeciwnikiem. A walczy wspaniale. Krew sika litrami, flaki latają stadami — że zacytuje opinię zaprzyjaźnionego malolata. A gdy już zły dyrektor trafia za kratki, dzielny Sylwek powraca do anielskich zadań. Znowu gaworzy niezłym niemiowle, znowu głaszcząc dziecięce główki, czyli samą słodycz.

Kto lubi filmy z cyklu hej siup, komu w dziób?, to proszę bardzo. Będzie zadowolony. Kto lubi kino mniej tandetne, odradzam. „Osadzony” jest zwykłą mistyfikacją. Rambo wskoczył w kuszę anielską spódnice i bardzo się męczy...

P. MAKSYMCAK

Oprac. STANISŁAW PATYCKI



ROZRYWKI umysłowe

Poziomo: 1. Szus. 6. W pierścionku i pończosze. 7. Szkolenie jak kierunek. 8. Poranna i wieczorna. 10. Zabiedzona u Konopnickiej. 12. Saudyjska. 14. Z Metodym. 15. Odezw. 16. Pierwszy w świecie komputer cyfrowy. 17. Kotlet raz!

Pionowo: 2. Do zamka i zagadki. 3. Zolnierskie miasto. 4. Rozkoszne dziecię. 5. Leś na lysina. 9. Strój na słońce. 10. Indiański ród. 11. Węglik. 13. Kwiatkowska.

Rozwiązanie krzyżówki prosimy nadsyłać pod adresem naszej redakcji do 5 lutego br. Na kopercie pocztowej prosimy nakleić zamieszczone poniżej kupon. Do wylosowania atrakcyjna nagroda książkowa.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 1

Hasło brzmi: „Do Siego Roku”. Nagrody książkowe wylosowali: BARBARA RADZIKOWSKA z Lubuska oraz EDMUND BŁAJET z Siedliska. Gratulujemy.